NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

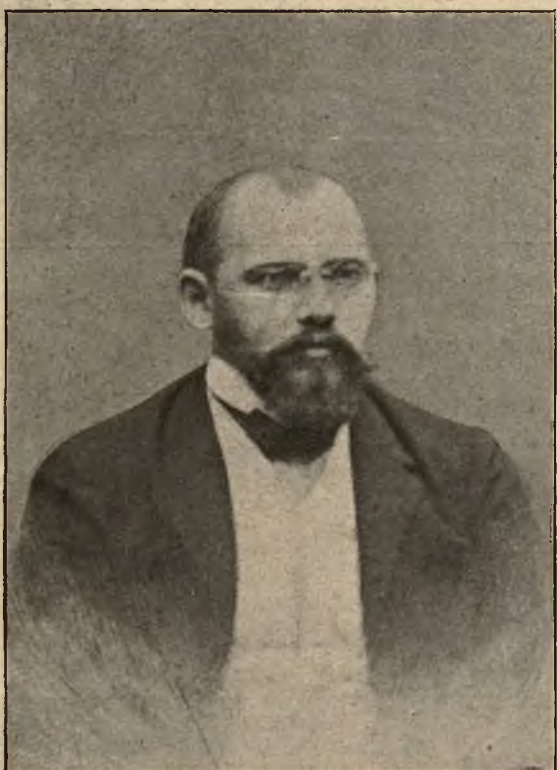
Rok V. Kraków, 23 maja 1908. Nr. 21.

Wywrócenie tramwaju w Warszawie. (Treść na str. 2.)



Wyrok na Sienkiewicza.

Pp. Nazaruk, Pałaamrz i tow., z adwokatem dr. Rodem z Zaleszczyk na czele, są ludźmi o honorze bardzo wydelikaconym. Uczuli się obrażonymi treścią artykułu Henryka Sienkiewicza, zamieszczonego w dzienniku wiedeńskim „Die Zeit“, a omawiającego słynną a raczej osławioną „głodówkę“ studentów ukraińskich, urządzoną w więzieniu śledczem we Lwowie po pamiętnem zdemolowaniu auli uniwersyteckiej. Ponieważ Sienkiewicz, opierając się na artykułach dzienników lwowskich, powtórzył pogłoskę o bifsztykach i winie,



Wyrok na Sienkiewicza: Adwokat dr. Walter Rode.

jakimi aresztowani „bohaterowie“ podczas „głodówki“ się raczyli, niektórzy z nich, a mianowicie: Nazaruk, Lewicki, Wesołowski, Pałamarz i Czerkawski, za pośrednictwem swego impressarya dra Rodego z Zaleszczyk, wytoczyli wielkiemu naszemu pisarzowi proces o obrazę „czci“.

A więc w procesie, który w ubiegły poniedziałek odbył się przed sądem przysięgłych w Wiedniu, Sienkiewicz, jeden z najgenialniejszych artystów teraźniejszości, który potęgą swego talentu i wspaniałością dzieł swoich świat cały zadziwił, był oskarżonym, a pp. Nazaruk, Pałamarz i tow., kompania „bohaterów narodowych“, którzy powybijawszy szyby, poniszczywszy sprzęty, obrazy, togi, następnie przed sądem wiedeńskim wszystkiego się wyparli, objęli rolę oskarżycieli. Z jednej strony Sienkiewicz, z drugiej Nazaruk, Pałamarz i tow! Oryginalne zestawienie!

Proces odbył się w nieobecności Sienkiewicza, który z powodu choroby nie mógł stanąć przed sądem. Zastępowali go prof. dr. Rosenblatt z Krakowa i adw. dr. Rabenlechner z Wiednia. Oskarżycieli zastępowali poseł adw. dr. Okuniewski i adw. dr. Rode.

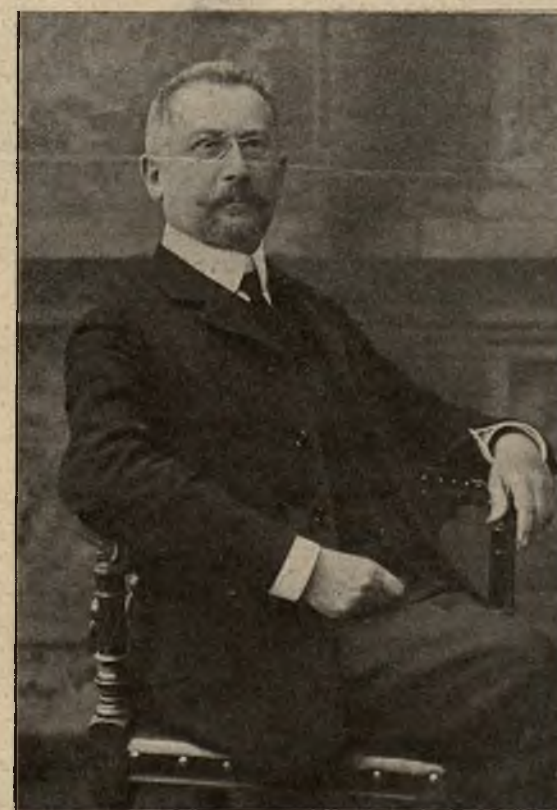
I zapadł wyrok. Wiedeńscy sędziowie przysięgli orzekli w swym werdykcie, iż Sienkiewicz



Wyrok na Sienkiewicza: Henryk Sienkiewicz.

wprawdzie nie obraził oskarżycieli przez podanie nieprawdziwych faktów, ale wystawił ich na pośmiewisko. Za to skazał Sienkiewicza trybunał pod przewodnictwem radcy Feigla na karę 300 koron grzywny.

Do wyroku tego, znając polityczne tendencye całego procesu, nie należy przywiązywać zbytniej wagi. Sienkiewicz, choć został „skazany“, pozostanie zawsze Sienkiewiczem, a pp. Nazaruk, Pałamarz i tow. pozostaną zawsze i wszędzie tylko „bohaterami“, o których głośno tylko wtedy, gdy biją szyby, mordują ludzi, lub usiłują przykładem przodków skąpać kogoś w beczce śmierdzącego dziegciu.



Wyrok na Sienkiewicza: Prof. dr. Józef Rosenblatt.

Wywrócenie tramwaju w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Świeżo zaprowadzone w Warszawie tramwaje elektryczne i nieobznajmiona z nimi jeszcze dokładnie służba tramwajowa, powodują całe masy wypadków nieszczęśliwych, które kilkakrotnie przybrały bardzo groźne rozmiary.

Przed kilku dniami u zbiegu ulicy Marszałkowskiej i pl. Zbawiciela młoda, dwudziestotrzyletnia sklepowa, Marta Widulińska wpadła pod wóz tramwajowy tak nieszczęśliwie, iż tylko brzegi sukni i nogi wystawały, cały zaś korpus znajdował się pod tramwajem. Nadjechało natychmiast pogotowie ratunkowe, by udzielić poszkodowanej pomocy lekarskiej, lecz tymczasem zaczęła się na ulicy tragikomedya tramwajowa.

Należało bowiem nieszczęśliwą wydostać z pod wozu, tymczasem służba nie dozwalała zbliżać się nikomu do tramwaju, mówiąc, że należy czekać na specyalne pogotowie techniczne, które zajmie się podniesieniem wozu w górę. Tymczasem zebrał się już znaczniejszy tłum ludzi, który słysząc jęki i wołania nieszczęśliwej o pomoc, przybrał groźną postawę wobec motorowego i konduktora i nawet ich pobił, oburzony lekceważącem ich zachowaniem, wóz tramwajowy zaś, podparty kilkudziesięciu ramionami, został wywrócony na bok. Potem dopiero podniesiono zemdlałą ofiarę i udzielono jej pomocy.

Nieszczęśliwa ofiara, z powodu znacznego upływu krwi pod tramwajem, w kilka dni potem zmarła w szpitalu.

Gimnazyastki lwowskie w Krakowie.

Znane zaszczytnie lwowskie gimnazyum żeńskie p. Zofii Strzałkowskiej, urządziło w ubiegłym tygodniu wycieczkę do Krakowa, celem zwiedzenia pamiątek narodowych i okolic grodu podwawelskiego.

Pod kierunkiem przełożonej zakładu oraz dyrektora Klemensiewicza przybyło do Krakowa kilkadziesiąt uczenic i w ciągu trzech dni pobytu



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Gimnazyastki lwowskie w Krakowie: Uczenice lwowskiego gimnazyum p. Zofii Strzałkowskiej (X) przed »Domem akademickim«

zwiedzało partyami zamek wawelski, Skałkę, muzea, park Jordana itd. Były też uczestniczki wycieczki w teatrze krakowskim na przedstawieniu „Cara Samozwańca“ Nowaczyńskiego.

Mimo iż kilkakrotnie deszcz psuł program wycieczki, pobyt uczenic lwowskich w Krakowie wypadł zupełnie zadowalająco i pozostawił wśród grona sympatycznych gości jak najdodatniejsze wrażenie.

Z okazyi tej wycieczki zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy uczestniczek, zebranych pod „domem akademickim“ przy ul. Jabłonowskich.



Wyrok na Sienkiewicza: Osyp Nazaruk.

Festyn szkolny w Krakowie.

Na rzecz funduszu kolonij wakacyjnych dla uczniów szkół średnich, urządzony został w ubiegłą niedzielę w parku Jordana „Festyn szkolny“ i dzięki pięknej pogodzie wypadł doskonale.

Główną zaletą zabawy był jej program, zupełnie odmienny od szablonowych, przeżytych festynów, jakich tyle każdego lata się odbywa. Również cel szlachetny przyczynił się w znacznej mierze do powodzenia zabawy i ściągnął do parku tłumy



(Aparatem red. W Lia.)

Festyn szkolny w Krakowie Nowoczesna »wyrocznia delficka«, wróżąca z kart.



Polak burmistrzem Skierniewic: Nowy burmistrz Gardzyński (X); 1. Ustępujący burmistrz Krasnokutski; 2. naczelnik powiatu Światłowski; 3. pomocnik naczelnika pow. Sałkowski; 4. kasyer Wasilewski; 5. sekretarz magistratu Karwowski; 6. kwatermistrz Maraszkiewicz. W otoczeniu ławnicy i radni magistratu.

publiczności. Z zajęciem przysłuchiwano się koncertowi trzech orkiestr gimnazyalnych, oraz produkcyom chóru młodzieży, a rej kolarzy i match footbalowy, urządzony na boisku parku, wywołał bardzo duże zainteresowanie.

Najwięcej jednak kupiło się publiczności około „wyroczni delfickiej“, która za bardzo niską opłatą prorokowała ciekawym przyszłość. Nowoczesna „Pytya“ wróżyła z kart, a wróżyła tak wesoło, że nawet najstraszniejszym przepowiedniom towarzyszyły salwy śmiechu otoczenia.

Wielkie powodzenie miały także urocze kwieciarki, które snuły się wśród tłumów publiczności, darząc brzydszą ich połowę wonnymi i barwnymi kwiatkami.

Wesoło więc i gwarno było do późnego wieczora w parku Jordana, a najważniejsze to, iż udana ze wszech miar zabawa przysporzyła szlachetnemu celowi pokaźnego zasiłku.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające główną atrakcyę festynu szkolnego, a mianowicie „wyrocznię delficką“, w chwili gdy z kart wróży przyszłość pytającej o nią damie.

Polak burmistrzem Skierniewic.

W mieście Skierniewicach, w Królestwie Polskiem, od szeregu lat powierzał rząd obowiązki burmistrzowskie Rosyanom, przeważnie byłym oficerom, ludziom tedy albo wcale nieobznajomionym, albo najwyżej bardzo mało z potrzebami miasta i jego gospodarką.

Zmiana w tym systemie nastąpiła po raz pierwszy w roku bieżącym, z inicyatywy nowego gubernatora warszawskiego barona Korfa, który w miejsce ustępującego burmistrza, porucznika kawaleryi, Krasnokutskiego, zamianował jego następcą miejscowego referenta powiatowego p. Gardzyńskiego, Polaka, człowieka światłego, dobrego administratora i znającego doskonale miejscowe stosunki, a cieszącego się w mieście ogólnem poważaniem.

Powołanie polskiego urzędnika na stanowisko burmistrza Skierniewic, po raz pierwszy od tylu lat, wywołało nietylko w mieście, ale i w okolicy ogólne zadowolenie.



Dusicielka dzieci: Joanna Weberowa.

Dusicielka dzieci.

Od kilku już lat opinia publiczna we Francyi zajęta jest historyą niezwykłej zbrodniarki, która zdaniem ogółu winna była już kilkakrotnie być skazaną na śmierć za swe zbrodnie, wskutek jednak opinii lekarzy, uznawaną była za niewinną.

Przed dwoma laty Joanna Weber w Paryżu straciła nagle dwoje dzieci, które jak stwierdzili lekarze, zmarły naturalną śmiercią. Od tej chwili wszystkie dzieci, z któremi Weberowa mogła choć przez krótką chwilę pozostawać sam na sam, ginęły dziwną, nagłą śmiercią. Przed półtora rokiem została oskarżoną o uduszenie trojga małych dzieci swoich krewnych, z któremi przebywała zaledwie przez kilka dni. Lekarze jednak orzekli, iż dzieci te zmarły z powodu konwulsyi i Weberowa została uwolnioną. W kilka miesięcy potem wziął ją do swego domu pewien wieśniak, lecz wkrótce dziewięcioletni jego synek, który spał w jednym pokoju z Weberową, zmarł nagle w nocy. Wdrożono śledztwo, lecz lekarze znowu nie znaleźli najmniejszych dowodów zbrodni i podali za powód śmierci konwulsye. Wnet potem znikła Weberowa z Paryża, aż oto rozeszła się wieść, iż w Lotaryngii Joanna Weber znowu udusiła siedmioletniego chłopca, syna oberżysty. Do miejscowości tej przybyła wieczorem, ukrywając właściwe swe nazwisko. Przed udaniem się na spoczynek prosiła gospodynię, by pozwoliła swemu synkowi spać z nią, boi się bowiem nocą pozostawać sama w pokoju. Naraz w nocy jeden z podróżnych, śpiący w sąsiednim pokoju, usłyszał jakieś charczenie. Dał znać o tem natychmiast gospodarzom, którzy wpadli do pokoju Weberowej i ujrzeli swe dziecko bez życia, leżące na łóżku koło Weberowej. Obdukcya lekarska wykazała, że dziecko zostało uduszone. Chodzi teraz tylko o stwierdzenie, w jaki sposób dopuściła się Weberowa poprzednich swych zbrodni, iż nie było najmniejszych śladów. Zdaniem lekarzy Weberowa cierpi na manię duszenia, wywołaną nieszczęśliwym skonem swych własnych dzieci.

Wiadomość o stwierdzeniu, iż Weberowa popełniła cały szereg strasznych zbrodni, wywołała we Francyi oburzenie przeciw władzom oraz lekarzom, którzy swemi orzeczeniami umożliwili zwyrodniałej zbrodniarce jej straszne czyny.



Fot. M. Münz, Lwów.

Krajowy kurs blacharski: Uczestnicy kursu wraz z nauczycielami.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

27 (Ciąg dalszy).

— Ach, złoty panie! — zawołała — dowiedzcie się którzy, bo mogą przeszkodzić wysyłaniu.

— No i pani i Stańskiemu.

— To rzecz podrzędna, tu idzie o partyę, o rewolucyę, nie o nas.

— Będę się starał, ale wątpię, czy powiedzą mi nazwiska.

— Zrób pan to dla mnie, dobrze? — spojrzała mu w oczy z prośbą.

— Postaram się.

— A ja już dziękuję — wyciągnęła rękę do niego.

Pierwsza na werandę weszła Janka i zawołała zdziwiona:

— Ach, jakie śliczne kwiaty, i tak dużo!

Lerche patrzał na nią uradowany, że zrobił jej niespodziankę przyjemną, a ona spojrzawszy na niego rzekła:

— To pan? Nieprawdaż?

— Chciałem pani zrobić przyjemność — odpowiedział Lerche.

Patrzała na kwiaty, a potem zwróciła się ku niemu z poważną miną i rzekła:

— Zastanawiałam się nad tem, co może skłaniać pana do tak niezwykłej uprzejmości i grzeczności.

— I doszła pani?

— Już przy pierwszem przesłuchaniu miał pan poczucie krzywdy, którą mi kolej chce wyrządzić i z tego zrodziła się sympatya.

— To naturalne — potwierdził inspektor Lerche.

— Pan bronił nietylko mnie, ale bezbronnych pracowników, a przekonawszy się, że zależy mi na pracy, a nie na protekcyi, zaczął mnie pan cenić i tą drogą powstała przyjaźń dla mnie. Czy tak?

— Dobrze... słucham dalej.

— Wreszcie połączyła nas wspólność przekonań i teraz już naprawdę jesteśmy w przyjaźni ze sobą.

Lerche miał ochotę nieprzepartą powiedzieć jej, że ją kocha, uwielbia, szanuje, ale słuchając jej chłodnego rozumowania i patrząc na spokojną jej twarz, siłą woli powstrzymał się od wyznania z obawy spłoszenia przyjaźni i zmuszając się do obojętności, powiedział:

— Istotnie taką mniej więcej szedłem drogą, zaczęło się od sympatyi, współczucia, szacunku, przyjaźni...

— Teraz już dobrze, wiemy oboje, co nas łączy i jestem spokojna.

— A czegóż się pani obawiała?

— Ach, nie mówmy już o tem. Pani Zgierska przyniosła jakieś plotki i.. wzbudziła moją podejrzliwość.

Inspektor Lerche sądząc, że powiedziano Jance, że on chce być jej kochankiem, rzekł nie bez żalu:

— Jakże mogła pani wierzyć plotkom... ja naprawdę za wysoko cenię i szanuję panią, ażebym zamierzał coś, co zraziłoby panią do mnie — odpowiedział Lerche.

— Dajmy temu spokój — uśmiechnęła się — sprawa wyjaśniona.

* * *

Tak minęło kilka dni. Janka była równa, spokojna, łagodna, a Lerche czuł wzrastającą miłość dla niej. Już nie na godziny, ale na minuty obliczał czas, gdy miał ją spotkać, a spóźnienie jej, gdy poszła z Klarcią lub bez niej w głęboki las, wprawiało go w nerwowy niepokój. Wyobrażał sobie, że ją ktoś napadł, skrzywdził, że zbłądziwszy szuka drogi, że przemytnicy lub drwale znęcają się nad nią.

Fantazya nasuwała mu obraz po obrazie, czuł się wyczerpanym, chorym, a pojawienie się Janki przywracało mu w jednej chwili spokój, równowagę, wesołość.

Jednego dnia Janka, przy wspomnieniu pierwszego spotkania, powiedziała kilka słów współczucia o Kudzyńskim, przeniesionym do Olejowa — miejscowości bez szkół, a na trzeci dzień uwiadomił ją Lerche, że Kudzyński jest znów w dyrekcyi.

Innym razem inspektor Lerche, widząc Jankę rozgorączkowaną, niespokojną, spytał troskliwie o przyczynę:

— Mam paczkę z browningami i drugą z nabojami. Sądziłam, że wczoraj weźmie ją ktoś, a tymczasem polecono mi dostawić te dwie paczki do wsi nad samą granicą do Michała Siągi. Jeśli pojadę sama, zwrócę uwagę ludzi we wsi, mogę zaszkodzić Michałowi, a on bardzo nam potrzebny... chyba poproszę Stańskiego.

— Dziś ma służbę — dorzucił inspektor Lerche.

— Więc sama pojadę... może mi się uda szczęśliwie.

— Jedźmy razem... niby wycieczka — rzekł Lerche.

— Bardzo dobrze... — zawołała ucieszona — a konie?

— Postaram się.

Wracali późnym wieczorem, wózkiem chłopskim, zmęczonymi końmi po drodze leśnej, wyboistej. O jakie dwa kilometry przed Horynią postanowili pójść pieszo do domu.

Wieczór letni był cichy, pogodny, światło księżyca przesączało się po przez gęste gałązki szpilkowych drzew, a po odjeździe furmanki otoczyła ich taka cisza, że Lerche słyszał niemal bicie swego serca, a każdy szmer owadów, łagodny poszum lasu, dźwięki wody rwącego potoku, wszystko szeptało mu słowa miłości, drżał z niecierpliwości podniecony nocą, samotnością, ciszą, a rozmowa wlokła się nudna o przygodach dzisiejszej podróży.

Wyszli na leśną polanę, rozjaśnioną światłem, a gdy Janka weszła w promienie księżyca, wydała mu się tak cudownie piękną, że wstrzymał ją i rzekł cicho:

— Odpocznijmy — wskazał na kłodę drzewa.

Usiadł obok niej i zaczął cichym, wzruszonym głosem: — chcę z panią szczerze pomówić, niepewność gorsza dla mnie od najsurowszego wyroku... wolno mi mówić?

— O co idzie, panie Ludwiku? — spytała spokojna, niemal obojętnie.

— Panno Janko, ja kłamałem przed panią — podniosła na niego zdziwione oczy — ja kocham panią do szaleństwa, bez opamiętania... Całe moje ja dawniejsze zniknęło, zmarniało, zmieniło się... żyję tylko przez panią i dla pani... gdziekolwiek jestem, cokolwiek robię, widzę tylko panią, patrzę oczyma pani, słyszę, myślę, czuję tylko to, co pani się podoba... Przypomnij pani sobie, że każde twe życzenie spełniłem, że nigdy przed niczem nie cofnąłem się, niema rzeczy i osoby, którejbym dla pani nie poświęcił i takim będę zawsze dla pani... Teraz pani wie całą prawdę... czy mogę liczyć na wzajemność? czy może mnie pani pokochać?

Czekał jak skazaniec na wyrok, a ona podniosła na niego swe piękne, głębokie oczy i mówiła spokojnie:

— Wiedziałam, że w panu coś się burzy, ale sądziłam, że pan zapanuje nad porywami swymi. Stało się... pan mnie kocha... wierzę temu. Pyta pan o wzajemność, ja mam dużo sympatyi dla pana, przyjaźni... nawet kocham pana, ale nie żadną nadzwyczajną miłością, tylko podobnie jak innych miłych mi ludzi, jak przyjaciela mego.

— Więc nigdy mnie pani nie pokocha? — spytał chrapliwym głosem, a na twarzy pobladłej rysował się ból i żal.

Janka poczuła coś w rodzaju litośnego współczucia. On był przecież dla niej zawsze tak dobry, wyrozumiały, spełniał każde jej życzenie, tak szczerze troszczył się o jej zdrowie, ułatwiał warunki życia, a gdyby go nie stało, poczułaby pustkę i brak jego, powiedziała też po chwili namysłu:

— Na razie nie wiem... pan jest przyjemny, miły... lubię pana naprawdę... a może i pokocham.

On patrzał badawczo w jej oczy i spytał porywczo:

— Czy pani mówi to szczerze?... nie potrzebuję i nie chcę litości... czy to prawda, że kiedyś mogę pozyskać miłość pani?

— Nigdy nie kłamię i powiem panu, że gdyby nawet pan nie był moim przyjacielem, ale obcym zupełnie, to mógłby mi pan się podobać. Pan ma ładne, wyraziste oczy i taki pan dobry i grzeczny...

Pochwycił jej rękę, ucałował i mówił rozmarzony szczęściem:

— Panno Janko, nigdy nie zrozumiesz i nie pojmiesz, jakiem szczęściem obdarzyłaś mnie dzisiaj. Ja bardzo, bardzo cię kocham i niema takiej ofiary, którejbym nie poniósł, byleś mnie pokochała.

— Co miałam powiedzieć, powiedziałam — uśmiechnęła się, zadowolona z jego rozradowanej twarzy — a teraz chodźmy, już późno, czas do domu.

— Jeszcze chwilę...

— Czy tak pilnujesz pan mego zdrowia? — zaśmiała się.

— Prawda... idziemy.

* * *

Janka niemal codziennie chodziła na dworzec. Wprawdzie odczuwała przykrość przy spotkaniu się z ludźmi, gdyż przypatrywano się jej dziwnie ciekawie, a nawet bezczelnie, jak jej się zdawało, ale skoro znalazła się sama, zapominała o ludziach i odzyskiwała pewność siebie.

Od trzech dni Lerche zamieszkał u ciotki, i gdy Janka szła przez miasteczko, kilku młodych urzędników zajrzało jej w oczy bardzo śmiało, a idąc za nią rozmawiali dość głośno, ażeby mogła posłyszeć:

— Taka ładna, młoda, a wybrała sobie starego na kochanka.

— Tem lepiej, przyjdzie czas i na nas.

— Znudzi się jej wkrótce rozlazła miłość — zaśmiał się inny — a wówczas sama będzie nas wołała.

Przyspieszyła kroku, czerwona z oburzenia. Lecz i na dworcu posłyszała za sobą szepty, a wrażliwe jej ucho chwytało słowa: „żyje z inspektorem", „to kochanka jego", „szkoda dziewczyny", „ona dużo może..."

Zdawało się jej, że naczelnik i inni urzędnicy traktują ją lekceważąco, a nawet Stański jest dziwnie chłodny.

— Czy wiecie? — mówił on przy spotkaniu — że Dyrkowski stracił posadę.

— Nic nie słyszałam.

— Mówią, że przysłużył mu się Lerche, który wpłynął na Gunthera.

— To niemożliwe! — zawołała.

— Zapewne znacie lepiej inspektora, spytajcie go — uśmiechnął się — w każdym razie szkoda Dyrkowskiego.

— Dlaczego podejrzewacie inspektora? Wierzcie mi, to dobry człowiek — powiedziała w poczuciu sprawiedliwości.

— Jak dla kogo? — uśmiechnął się drwiąco — my, kolejarze, nie mamy powodu do chwalenia go.

Janina miała na ustach słowa, któreby przekonały Stańskiego, ale musiałaby mówić i o swoich zasługach, więc milczała.

— Niema paczki? — spytała.

— Dotychczas nie przysłano. Od wczoraj spodziewam się. Nie potrzebujecie trudzić się aż tutaj, porzucać waszego leśnego domku, odeślę wam natychmiast.

Każde słowo Stańskiego bolało ją i kłuło, czuła rosnący w sobie żal do ludzi i nie chcąc się zdradzić, że ją coś dotknęło, pożegnała się chłodno ze Stańskim i wyszła.

Po drugiej stronie dworca dojrzała obok kamienicy portyerową i kilka znajomych kobiet, chciała je przywitać, lecz one widząc ją zbliżającą się, rozeszły się szybko. Została mała dziewczynka, której Janka często dawała słodycze. Podeszła do dziecka, lecz zanim zdołała pogłaskać główkę, matka zawołała dziecko do siebie głosem ostrym i gniewnym.

Te kobiety i dziecko dopełniły miary. Jance stanęły łzy w oczach, a tłumione łkanie dusiło ją. Czuła się zgnębiona, zdeptana, odepchnięta. Szła przed siebie nie widząc, nie słysząc, cała zatopiona w swym bólu i upokorzeniu.

Przechodziła obok fabryki, przypomniała sobie wydalenie Dyrkowskiego i co on teraz zrobi? Przed oczyma stanęła jej miła i przyjemna Dyrkowska i troje małych dzieci. Jak ona musi cierpieć i niepokoić się o przyszłość męża i dzieci. Ale ona nie dopuści do wydalenia. Mówią, że Lerche to zrobił, otóż Lerche wpłynie, ażeby Dyrkowski został.

Ta myśl ją pocieszyła i zwolna ustępowało przygnębienie. Zaczęła rozumować. Jakie prawo mają ludzie mieszać się w jej osobiste stosunki? Co ich to obchodzi, czy ona jest, lub nie jest kochanką Lerchego i jakie stosunki ich łączą?

Czyż ona kiedykolwiek zajmowała się tego rodzaju plotkami lub dochodzeniami? I dlaczego ludzie przy lada pozorze zaraz potępiają i obrzucają błotem? Dlaczego nikt nie spyta się wpierw, czy to prawda?

Ach, otóż to opinia publiczna — uśmiechnęła się z drwiącą goryczą. Ale cóż mnie zależy na opinii takich ludzi?

Potępiacie mnie, chociaż jestem niewinna, to podłość... ale teraz, dam żer waszej głupocie, pokażę wam, że nic mi na waszych głupich mózgach nie zależy.

I o ile, przed niedawnym czasem była przygnębiona, teraz czuła się podniecona do walki z całym światem, z opinią, ze złośliwością i plotkarstwem.

Ja wam pokażę, że drwię z was, że depcę wasze przesądy i prawa, jestem wolna, niezależna i mam silną wolę.

Przyspieszyła kroku i obmyślała cały plan postępowania swego. Idąc obok domu, gdzie mieszkał inspektor Lerche z ciotką, wstąpiła i spytała o niego.

— Jest u pani, bawi się z Klarcią w krokieta.

— Czy kończycie partyę? — spytała wesoło, zbliżywszy się do grających w pobliżu jej mieszkania.

— Już kończę — zawołała Klarcia — pan Ludwik przegrał.

— Po partyi chcę z panem pomówić — powiedziała wesoło Janka, idąc w stronę swego mieszkania.

Usiadła już spokojna, zdecydowana, a po chwili wszedł Lerche.

Zaczęli rozmawiać, a Janka upatrzywszy stosowną chwilę, mówiła:

— Prowadzę życie tak jednostajne, jak zwykła jakaś burżujka. Chcę trochę wrażeń, ruchu, hałasu.

— To bardzo dobry znak — powiedział ucieszony — wraca pani zdrowie. Dobrze, zrobimy małą wycieczkę, tu są cudowne skały niedaleko, o dwie mile...

— Nie, nie chcę przebywać w miejscach samotnych... ale tam, gdzie są ludzie, gdzie życie... A gdybyśmy pojechali na dworzec kolejowy, na kolacyę?

— Bardzo chętnie.

* * *.

W czasie kolacyi, w sali restauracyjnej było dużo gości, wracających z wycieczek i prawie wszyscy urzędnicy kolejowi przechodzili przez salę. Janka była wesoła, uśmiechnięta, miała błyszczące oczy i prowadziła ożywioną rozmowę. Nigdy jeszcze nie była tak dobrą i tak łaskawą dla niego.

On był oczarowany, a gdy wychodzili, powiedziała dość głośno:

— Panie Ludwiku, teraz pojedziemy na spacer, taka cudowna noc.

Do ich stosunku przyjaźni wprowadziła ton serdeczności, zaufania. I na razie zmuszała się do poufałości z nim, lecz w krótkim czasie to zbliżenie się weszło w tryb życia codziennego.

— Proszę was Ludwiku — to Janka wprowadziła „wy", zamiast „pan" — wiecie, ten Dyrkowski, kandydat na posła, został wydalony z fabryki Gunthera i Spichala.

— Nie wiedziałem... to już sprawa stronnictwa hrabiego.

— On ma bardzo miłą żonę i troje dzieci małych, nie możecie wpłynąć na pozostawienie go na miejscu?

— Dobrze... przecież wam nigdy nie odmawiam.

Bez zwłoki udał się do fabryki i dowiedział się, że wydalenie nastąpiło na prośbę i wpływy adwokata Kamerskiego, jego przyjaciela. Fabrykanci jednak mieli nieustanne stosunki z koleją i dużo zależało im na inspektorze, zgodzili się więc chętnie na pozostawienie go, obiecując nawet podnieść mu płacę.

Janka dowiedziawszy się o rezultacie pośrednictwa, postanowiła pójść do Dyrkowskich z pomyślną wiadomością. Zastała ich w domu, lecz przyjął ją tylko Dyrkowski z chłodną grzecznością.

— Słyszałam, że wymówiono panu miejsce w fabryce.

— To było wczoraj, dziś uwiadomiono mnie, że zostaję i to na lepszych warunkach.

— Jakże się cieszę, i kandydatury swej pan nie cofa? A co ze „Sokołem"?

— Nie zrzekam się kandydatury, a wydział „Sokoła" rozwiązał się, odbędą się nowe wybory.

— Kiedy? Dlaczego mnie nie uwiadomiono?

— Tego nie wiem — ale w tonie i spojrzeniu odczuła, że on wie, ale nie chce jej powiedzieć.

Przez cienkie drzwi słyszała głosy dzieci i Dyrkowskiej.

— Jakże zdrowie żony? tak dawno nie widziałam...

— Dziękuję pani, zdrowa... jest zajęta— dodał słysząc głos żony.

Janka rozgoryczona przyjęciem i tonem rozmowy, wstała i wyszła nie podawszy mu nawet ręki.

To niepowodzenie zamiast przygnębienia wywołało tylko zaciekłość do dalszej walki. Widząc się otoczoną nieprzyjaznymi ludźmi, tem bardziej lgnęła do przyjaźni Ludwika, stała się wrażliwszą na jego troskliwość i kochanie. Pozwoliła mu



uśmiechnęła się zadowolona z jego rozradowanej twarzy.

się ściskać, całować i z początku wmawiając w siebie, że go bardzo lubi, doszła stopniowo do przekonania, że prawie go kocha.

— Janko i ty naprawdę mnie kochasz? — pytał niewiadomo który raz.

— Czyż nie daję ci dowodów — uśmiechnęła się Janka.

— Prawda... i będziesz moją żoną?

— Będę... a kiedy nastąpi rozwód z tą Mimi?

— Wkrótce, moja jedyna.

I sielanka trwała, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek Lerche przeżył w życiu. Wierzył każdemu jej słowu, spojrzeniu, uściskowi, a gdy była chmurna, zimna, odstręczająca, przypisywał tę zmianę jej nerwom.

Janka poddawała się biernie rozwijającym się wypadkom, pogodziła się z myślą, że weźmie ślub z Lerchem i nawet czuła ukojenie, że życie jej będzie ciche, pogodne, bez burz i niepokojów.

Lerche przeżywał w rozkoszy i szczęściu ostatnią wiosnę swego życia.

A gdy Janka podniecona jakiemś dotkliwem słowem lub spojrzeniem zrywała się do wyzywającej walki, on dbając o opinię swej przyszłej żony, powstrzymywał ją, odradzał, łagodził jaskrawość, ale najczęściej bez żadnego skutku i narażał się tylko na jej drwiny, z powodu swych burżujskich przekonań.

Po nadzwyczajnem podnieceniu i zapałach, nastąpiła u Lerchego z konieczności pewna reakcya. Będąc pewnym miłości Janki, uważał ją za przyszłą swoją żonę i przestał się krępować w swoich przywyknieniach.

Dalsze spacery piesze po górach i lasach męczyły go, z Janką rozmawiał chętnie o swem biurze, o stosunkach z dyrektorem...

Na razie to ją zajmowało, następnie nudziło, wreszcie męczyło.

Podnosił się w niej bunt przeciw szablonowemu traktowaniu jej osoby, jako żony, przeciw ujęciu w karby ujętemu życiu. Chwilami drżała z niecierpliwości i gniewu, lecz nie chcąc psuć harmonii stosunków, tłumiła w sobie swe żale, pretensye, gorycze.

A Lerche był zawsze pewny jej miłości, wierzył jej bezwarunkowo i marzył, że całe życie upłynie mu przy boku tej ukochanej, wyśnionej Janki.

XVI.

Czas wyborów zbliżał się, ale do Janki nikt się nie zgłosił. To ją drażniło, czuła się pokrzywdzoną przez to zapomnienie. Należała prawie do partyi, gdyż była wtajemniczona w działalność, pośredniczyła w przemycaniu broni i pism, okazała się użyteczną i potrzebną, a jednak nikt jej teraz nie wzywał do pracy. Nie mając przed kim się zwierzyć, zwróciła się do inspektora, który dawał jej dowody przyjaźni i miłości na każdym kroku.

— Wiecie pewno, że agitacya wre w Horyni — przemówiła pewnego razu Janka przy spotkaniu.

— Podobno — uśmiechnął się uszczęśliwiony jej obecnością — ale przyznam się, że nic mnie nie obchodzą wybory... Jestem tak szczęśliwy w tem odludziu z wami...

— To egoizm—powiedziała dość szorstko — trzeba iść razem z żywymi, bo inaczej człowiek martwieje.

— Czyż nie żyjemy teraźniejszością i przyszłością? Będziemy wspólnie pracowali, doskonalili się, i nasze szczęście będzie tak promieniowało, że wokoło nas nie będzie smutku i troski.

— Nie, ja nie chcę tego szczęścia samotnego... nie rozumiemy się... Ja potrzebuję życia, walki, ruchu... Spójrzcie tylko na Królestwo, jak tam wre, kipi, drży wszystko... a my tu dusimy się w tej zgniłej, stojącej wodzie, zwanej konstytucyą... nawet wyborów nie umiemy przeprowadzić.

Mówiła podniecona, z oczyma błyszczącemi, z wyrazem zapału na pięknej twarzy.

— Rozumiem was — westchnął i dodał z lekkim odcieniem żalu — wyście młoda, was unosi energia życia... Nie myślę wam przeszkadzać i jeśli was bardziej zadowoli agitacya wyborcza, aniżeli nasze życie teraźniejsze... idźcie i pracujcie sobie.

— Ach, nie myślałam wcale pytać was o pozwolenie — zaśmiała się drwiąco — zrobię to, co zechcę... jeśli mówiłam o tem, to jedynie, ażeby was rozruszać.

— No, nie będziecie chyba wymagali, ażebym agitował za Dyrkowskim — obruszył się — żądaliście, ażeby tu pozostał, zrobiłem to, ale agitować nie chcę i nie mogę.

Dotychczas Lerche nigdy w niczem jej się nie sprzeciwił, więc spotkany opór rozdrażnił ją i rozgniewał.

Była przekonana, że on po tak częstych rozmowach z nią o socyalizmie, po przeczytaniu Kautskyego, Bebla i innych propagatorów, przejął się zasadami socyalizmu i będzie naturalnie pomagał do wyboru Dyrkowskiego, którego partya zalecała na posła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nagroda z konkursu hippicznego.

W poprzednim numerze zamieściliśmy kilka zdjęć z konkursu hippicznego na torze wyścigowym krakowskim, oraz podaliśmy w artykuliku



Nagroda konkursu hippicznego: Portret cesarza austryackiego na koniu, rzeźba prof Raszki.

przebieg tej pięknej zabawy sportowej oraz wynik konkursu.

Dziś podajemy Czytelnikom zdjęcie fotograficzne pierwszej nagrody, którą zdobył por. Dlauhovesky za brawurową jazdę konną i lekkie branie przeszkód. Nagrodę tę stanowi rzeźba prof. Jana Raszki. Jest to portret cesarza Franciszka Józefa na koniu, wykonany w srebrze. Cesarz przedstawiony jest w mundurze ułańskim, jako właściciel pułku ułanów. Piękne to dzieło sztuki wykonał prof. Raszka na zamówienie generała Böhm-Ermollego, komendanta tutejszej dywizyi kawaleryi, a wykonał — jak wszystkie swe prace — z całym artyzmem i starannością.

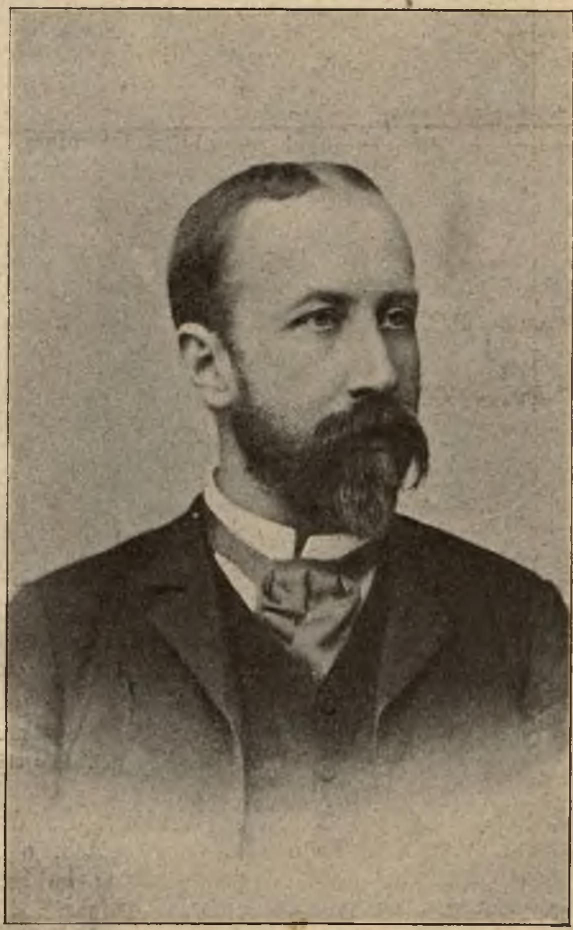
Polityczne krętactwo.

Klub ukraińskich posłów w wiedeńskim parlamencie jest bardzo nieszczęśliwy. Choć złożony wyłącznie z „inteligentów“, choć posiada w swem gronie profesorów uniwersytetu, adwokatów, pedagogów, księży, a wreszcie redaktorów, nie może się w labiryncie politycznym zoryentować, chodzi wciąż poomacku i popełnia błąd za błędem.

Rozpoczęła się polityka klubu słynną mową Budzynowskiego z zapowiedzią wytopienia Polaków w Sanie, potem nastąpił koncert chóralny wobec zdumionej tego rodzaju występem Izby, a dalej rzucenie pulpitu ku prezydentowi parlamentu, pochwalenie pruskiej ustawy o wywłaszczeniu, zsolidaryzowanie się ze zbrodnią Siczyńskiego. Całość, jaka się z tego rodzaju polityki wywiązała, to wielka mieszanina, w której obok brutalności i bezmyślności, sporo prymitywnej chytrości, mającej stanowić „nieprzejednaną opozycyę“.

Przedewszystkiem uderza jednak w całej polityce hajdamackich prowodyrów niesłychane krętactwo, typowo bizantyńska zdolność wypierania się własnych czynów i podsuwania im, stosownie do okoliczności, rozmaitego znaczenia. Ostatnim, bardzo wymownym dowodem tego, jest znany dziś i głośny występ posła ukraińskiego dr. Teofila Okuniewskiego. Poseł Okuniewki był w Pradze na pogrzebie czeskiego parlamentarzysty dr. Herolda i na uczcie, urządzonej w tem mieście dla przybyłych na pogrzeb gości, przemawiał za potrzebą solidarności słowiańskiej w walce z germanizmem, przyczem zwrócił uwagę na zjazd książąt niemieckich w tym samym dniu odbyty w Wiedniu.

Treść mowy dr. Okuniewskiego dostała się na szpalty dzienników i wywołała w obozie ukraińskim ogromny rozgardyasz. Wiadomo, że Ukraińcy są wiernymi służalcami skrajnych szowinistów niemieckich i w polityce swej wypierają się jakichkolwiek sympatyi ze słowiańskiemi narodowościami, zamieszkującemi monarchię. Występ dra Okuniewskiego mógł popsuć harmonię i idyllę, panującą między klubem pp. Wolfa i Stransky'ego (wszechniemca) a pp. Romańczuka i Wassilki. Aby więc ten „niepolityczny“ krok członka swego klubu naprawić, wiceprezes Wassilko wybrał się z przeprosinami do reprezentantów niemieckości w parlamencie austryackim, oświadczając równocześnie, że nikt z Ukraińców z słowianofilskiemi wynurzeniami dra Okuniewskiego się nie solidaryzuje.



Polityczne krętactwo: Poseł dr. Teofil Okuniewski.

Nie obeszło się przytem bez sprostowań, a „urzędowa“ treść mowy posła ukraińskiego, zamieszczona w komunikacie klubu posłów ukraińskich, została tak wystylizowaną, iż ci, co ją w Pradze słyszeli — a zapewne i sam mowca — nie poznaliby jej.

Całe to zajście przysporzyło nowych laurów polityce Ukraińców w Wiedniu.

Hajdamackie barbarzyństwo.

Agitacya hajdamacka, prowadzona od dłuższego już czasu we wschodniej części kraju naszego,





Hajdamackie barbarzyństwo: Widok powalonych przez Ukraińców nagrobków na cmentarzu w Drohowyżu.

wydaje coraz straszniejsze owoce, świadczące o niesłychanem zdziczeniu Ukraińców, o zaniku wszelkich uczuć etycznych wśród nich.

Agitacyę podsyciła zbrodnia Siczyńskiego, popełniona na osobie namiestnika Potockiego, a w ślady swego „geroja" poszli inni Ukraińcy. Co dzień prawie donoszą pisma o nowych gwałtach, o nowych bezprawiach, jakich rozwydrzone hajdamactwo dopuszcza się na mniejszości polskiej. Spalono więc szkołę polską w Hnilczu pod Stanisławowem, wycięto dąb pamiątkowy im. Mickiewicza na rynku w Żydaczowie, a ostatnio zburzono trzynaście nagrobków na cmentarzu zakładu fundacyi Skarbkowskiej w Drohowyżu obok Mikołajowa nad Dniestrem.

Wypadek ten zaszedł przed kilkunastu dniami w nocy. Śledztwo, jakie w sprawie tego świętokradztwa i zbezczeszczenia cmentarza prowadzi miejscowa żandarmerya, wykryło dotąd jednego ze sprawców, Rusina Petra Nakutnego, który też pod zarzutem uczestnictwa w tym czynie aresztowano.

Nie dość widać „krzywdzonym" hajdamakom grozić żyjącym Polakom wytopieniem i wywieszaniem, nie dość rzucać się na bezbronnych z narzędziami mordu, oni zdolni są nawet do bezczeszczenia grobów umarłych. Nie zajdą jednak na tej drodze daleko, a naród polski posiada dość sił, by zawieruszę hajdamackiej stawić mężnie czoło.



Intrygi pruskie w Afryce: Posłowie marokkańscy Sidi Mohammed ben Hafis i Ben Abd ben Nis Tafi na pokładzie statku w drodze do Berlina.



Polak ambasadorem w Chinach. Eugeniusz Kuczyński, ambasador austryacko-węgierski w Pekinie.

Intrygi pruskie w Afryce.

Wiadomo było powszechnie, iż od początku wyprawy francuskiej do Marokka, przedsięwziętej w celu uśmierzenia krwawych rozruchów, jakie tam powstały przeciw europejczykom, Niemcy rozpoczęły natychmiast postępne knowania, by utrudnić, a nawet wprost uniemożliwić akcyę Francuzów. Rząd niemiecki, zmuszony do prowadzenia bezustannej walki z tubylcami o utrzymanie swych kolonii afrykańskich, zazdrosnem okiem spoglądał na wzmagające się wpływy rzeczypospolitej w Afryce, nic też dziwnego, że wszelkiem siłami dążył do unicestwienia korzyści, jakie zdobywał tam oręż francuski.



Polak ambasadorem w Chinach: K. Kuczyńska, żona ambasadora.

Początkowo dawano z Berlina tylko skrytą pomoc buntującym się marokkańczykom, obecnie jednak Niemcy przystąpiły do jawnych kroków przeciw Francyi.

Przed kilku dniami posłowie Mulej Hafida, uzurpującego sobie władzę sułtana marokkańskiego, przybyli do Berlina i zostali przyjęci w mini



Aparatem red. W. Lr.

Strażacy z Królestwa na kursie krakowskim: Inż. Brzeziński z Czeladzi, naczelnik Nowotny, ks. B. Pieńkowski z Czeladzi, sekretarz A. Szczerbowski, p. Żykła z Czeladzi.

sterynm spraw zagranicznych przez sekretarza poselstwa w Tangierze, Langwert von Simmerna. Marokkańczycy doręczyli mu własnoręczny list Mulej Hafida i oświadczając, że on jest faktycznym władcą całego państwa z wyjątkiem miast nadmorskich, prosili rząd niemiecki o porozumienie się z Francuzami w celu usunięcia wojsk i sądów francuskich, oraz przerwanie czynności wojennych.



Skon aktora-dziennikarza: Ś. p. Juliusz Jejde.

Posłowie marokkańscy, którzy zajechali do ministerynm w niezwykle uroczysty sposób automobilem, przybrani w niebieskie jedwabne suknie, żółte pantofle, w długie fałdziste białe płaszcze i białe turbany, z przebiegu audyencyi byli bardzo zadowoleni.



Fot. Bruner-Dworzak, Praga.

Wystawa jubileuszowa w Pradze: Uroczystość otwarcia wystawy przez arcyksięcia Franciszka Ferdynanda (X)

Polak ambasadorem w Chinach.

Pomimo iż Polska w ciągu dziewiętnastego wieku wydała tylu pierwszorzędnej miary polityków i dyplomatów, w służbie dyplomatycznej państw, władnących obecnie ziemiami polskiemi, z wyjątkiem jednej Austryi, nie spotykamy wcale nazwisk polskich. I tak nie znajdujemy prawie ani jednego Polaka w ambasadach rosyjskich i niemieckich, w austryackich zaś liczymy ich bardzo nie wielu.

W ostatnich czasach ambasadorem austryacko-węgierskim w Pekinie został mianowany Eugeniusz Kuczyński, który mimo stosunkowo krótkiej działalności na tem stanowisku położył nie małe już polityczne zasługi a nadto doprowadził do pożądanego stanu budynki ambasady, zrujnowane doszczętnie podczas powstania bokserów w 1900 roku.

Plany odbudowy sporządził za poprzedniego jeszcze ambasadora barona Czikanna, niedawno zmarły architekt polski Ferdynand Kowarski. Nowy, jednopiętrowy pałac, zbudowany w stylu greckim, przedstawia się niezwykle okazale. Z trzech stron tak na piętrze, jak i na parterze otoczony jest galeryą, wznoszącą się na całym szeregu słupów kamiennych. Wnętrze pałacu urządzono z niezwykłym komfortem, o jaki w Pekinie bardzo trudno. Pałac ambasadora, jak również wznoszące się obok pawilony sekretarzy i attaches ambasady, otoczone są ze wszystkich stron ogrodami, które czynią ten zakątek jednym z najpiękniejszych w całym Pekinie.



Fot. Bruner-Dworzak, Praga.

Wystawa jubileuszowa w Pradze: 1. Arcyksiąże następca tronu Franciszek Ferdynand; 2. minister handlu Fiedler; 3. minister-rodak czeski Praszek; 4. minister pracy Gessmann; 5. b. minister Forzt.

Strażacy z Królestwa na kursie krakowskim.

Kurs strażacki, urządzony w Krakowie staraniem krajowego związku ochotniczych straży pożarnych, zakończył się w ubiegłym tygodniu pięknym popisem.

Ogólną uwagę zwracał współudział w pracach na kursie dwóch strażaków-ochotników z Czeladzi pod Sosnowcem w Królestwie Polskiem. Pod zaborem rosyjskim istnieją również ochotnicze straże pożarne, nie tworzą jednak związku, jak naprzykład galicyjskie, lecz działają każda oddzielnie.

Jedna z najstarszych ochotniczych straży w Królestwie, straż w Czeladzi, wysłała na kurs związku w Krakowie dwu swych członków, inżyniera Brzezińskiego i p. Żyłę. Po powrocie do Czeladzi wprowadzą oni do tamtejszej straży pewne zmiany w organizacyi na wzór tutejszej.

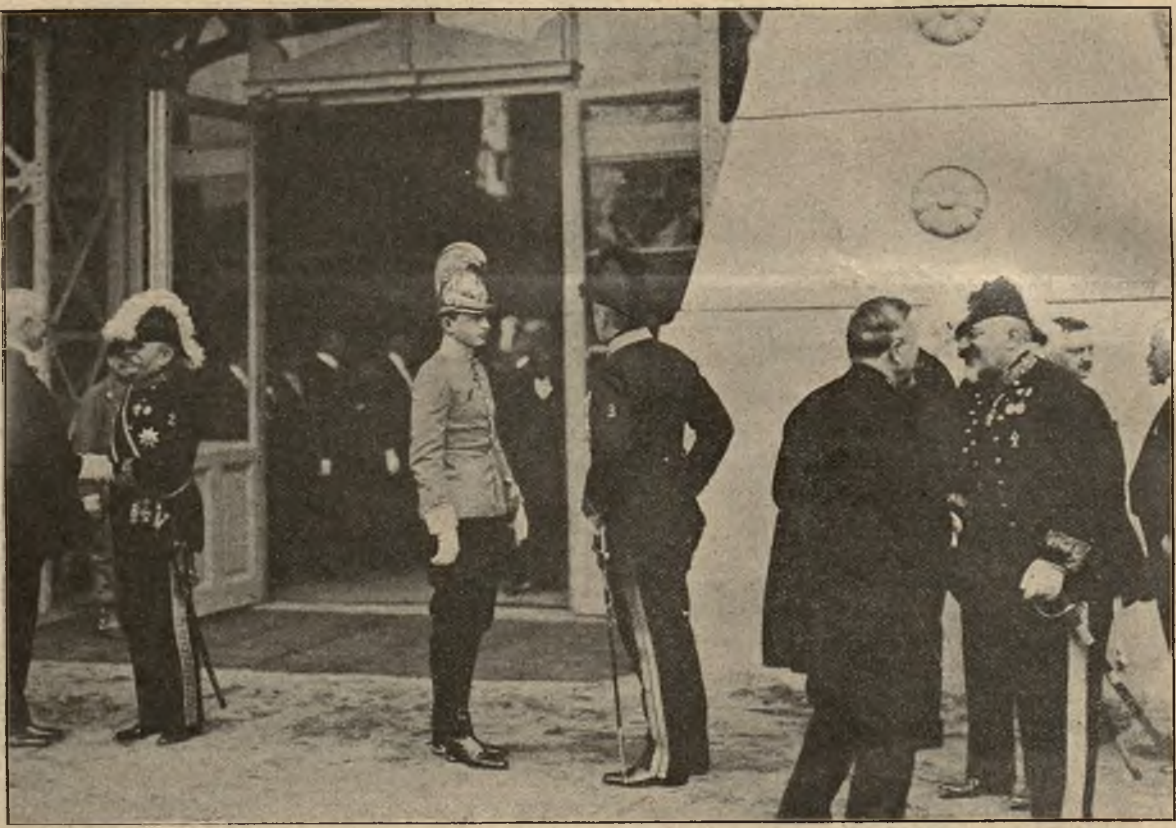
Celem przypatrzenia się wynikom prac na kursie oraz popisowi końcowemu, przybył też do Krakowa prezes straży ochotniczej z Czeladzi, ksiądz proboszcz Bolesław Pieńkowski.

Zdjęcie fotograficzne grupy, przedstawiającej księdza prezesa Pieńkowskiego, obu ochotników z Królestwa, oraz naczelnika krakowskiej straży pożarnej miejskiej Nowotnego i sekretarza krajo-

wego Związku strażackiego, Antoniego Szczerbowskiego, zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Nowości“.

Wystawa jubileuszowa w Pradze.

Rok bieżący, który tak żywo zapisze się w dziejach monarchii austryacko-węgierskiej z powodu jubileuszu sześćdziesięcioletnich rządów cesarza Franciszka Józefa, dla Czechów będzie tembardziej rokiem pamiątkowym. Czesi bowiem dla uczczenia tej rocznicy urządzili wystawę przemysłową okręgu praskiego, na której przedstawili ogrom rozwoju społecznego i przemysłowego, jaki się dokonał w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat w ich kraju za panowania cesarza Franciszka Józefa.



Fot. Bruner-Dworzak, Praga.
Wystawa jubileuszowa w Pradze: 1. Arcyksiążę Karol Franciszek Józef; 2. b. minister Forzt; 3. namiestnik br. Coudenhove; 4. minister Gessmann.

Jest to oryginalne, ale zarazem wspaniałe uczczenie monarchy, bo okazuje dowodnie dobrobyt narodu, który wspaniale rozwinął się pod jego rządami. Choć wystawa ta jest tylko częściowa, nie przedstawia bowiem przemysłu całego kraju, mimo to cały naród czeski otwarcie jej obchodził jako wielkie święto pracy narodowej.

Otwarcie wystawy jubileuszowej, dokonane przez następcę tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, odbyło się w ubiegłym tygodniu z wielkim przepychem, jaki zazwyczaj w takich razach rozwija „złota“ Praga. Od wczesnego ranka w dzień otwarcia nieprzejrzane tłumy ludności, przybyłej ze wszystkich stron kraju, dalej długie szeregi wszelkiego rodzaju powozów, samochodów i zwykłych wozów ciągnęły na plac wystawowy na przedmieściu Bubnie.

Po otwarciu wystawy przez arcyksięcia, który przybył z wielkim dworem w towarzystwie kilku ministrów, oczom zebranych tłumów przedstawił się niezwykle wspaniały widok. Trzysta przeszło budynków, najrozmaitszych stylów i wielkości, zdobi wystawę. Największe wrażenie sprawia imponująca rozmiarami hala maszynowa, zajmująca dziesięć tysięcy metrów kwadratowych. Całe urządzenie wystawy, przeprowadzonej z niezwykłą umiejętnością, świadczy o prawdziwym rozwoju wszystkich dziedzin życia narodu czeskiego.

Skon aktora-dziennikarza.

Jedna z bardzo sympatycznych i ogólnie w Krakowie znanych postaci zeszła do grobu: śp. Juliusz Jejde, artysta dramatyczny sceny krakowskiej i współpracownik „Głosu narodu“. Zmarł on w ubiegłym tygodniu w 66 roku życia, wskutek zapalenia płuc.

Śp. Jejde pochodził z Królestwa Polskiego. Już w 18 roku życia wstąpił na scenę, rzucił ją jednak wnet potem, gdy wybuchło powstanie styczniowe. Po jego upadku wstąpił znowu do teatru i grywał na scenach warszawskich, łódzkiej i poznańskiej. Do Krakowa przeniósł się za czasów dyrekcyi St. Koźmiana i pracował tu aż do ostatnich dni życia, wywiązując się z powierzonych sobie ról bez zarzutu. Prowadził też przez kilka miesięcy r. 1903 teatr ludowy krakowski.

Drugiem polem jego działalności było dziennikarstwo. Śp. Jejde mianowicie był sprawozdawcą „Kuryera Polskiego“, a kiedy pismo to zwinięto, wstąpił do założonego w tym właśnie czasie „Głosu narodu“.

Zmarły dziennikarz i aktor należał do bardzo w Krakowie popularnych osobistości. Ceniono go też powszechnie ze względu na zalety charakteru. Człowiek to był cichy i nadzwyczaj łagodny, o bardzo jednak gorącej duszy. Służył chętnie każdej narodowej sprawie i spieszył z pomocą, gdy tej od niego żądano. Wychowany w religii ewangelickiej, zmarł jako katolik, zmieniwszy tuż przed skonem wyznanie wiary.

Spokój jego popiołom!

Psi cmentarz.

Napozór wydawać się może śmiesznem a nawet ubliżającem dla czci, jaką współczesne społeczeństwa otaczają zmarłych, aby w podobny sposób wyrażać swe przywiązanie dla psów. A jednak nie brak ludzi, którzy z jakichś powodów miłość swą przelewają na zwierzęta, szczególnie na psy i grzebiąc je na specyalnym cmentarzu, a miejsce to ozdabiając pomnikiem, w ten sposób właśnie wyrażają swe uczucia. Dość przejść się po psim cmentarzu, aby wyczytać w napisach na pomnikach, jakie pobudki kierowały tymi, którzy nagrobki te wznosili.

Pierwszy taki cmentarz powstał we Francyi pod Paryżem. Dzisiaj ocieniony drzewami, zasiany kwiatami, lśni się śnieżnymi marmurami pomników, z których niejeden posiada znaczną wartość artystyczną. Wśród nich odznacza się zwłaszcza



Zaszczytne odznaczenie: Dr. Władysław Stesiowicz.

pomnik wykonany w marmurze kararyjskim, a przedstawiający wielkiego psa kudłatego, otrząsającego się ze strumieni wody i trzymającego w pysku małą dziewczynkę, którą wyratował od utonięcia. Za napis wyryty na pomniku służy imię psa i wyliczenie kilkunastu wypadków, w których pies ten uratował ludzi od śmierci.

Zdjęcie z psiego cmentarza, znajdującego się pod Kopenhagą, podajemy dzisiaj naszym Czytelnikom.



Psi cmentarz: Zakątek psiego cmentarza pod Kopenhagą.

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

9 (Dokończenie).

Snovard odezwał się najspokojniej:

— Widzieliście panowie, że ten szaleniec rzucił się, aby mnie udusić. Musiałem się bronić. Ubolewam, jeżeli stało się coś złego; powtarzam, że działałem w obronie własnego życia. Panowie widzieli.

Przerażenie nastało powszechne. Kobiety mdlały, mężczyźni odwracali się z niesmakiem; całe towarzystwo gorączkowo tłoczyło się ku wyjściu. August ukląkł przy Schwerdtnerze.

— Umiera! — zawołał rozdzierającym głosem. Baron pospieszył do Schwerdtnera, lekarz opuścił Elwirę i przybiegł do rannego.

— Czy zabity? — pytały różne głosy lekarza.

— Niestety! Zdaje mi się, że tak.

— Przysięgam Bogu — rzekł Snovard spokojnie — że nie miałem zamiaru. Panowie musicie uznać, że działałem w obronie własnego życia. Dlaczego wpuszczono tu szaleńca? dlaczego nikt go nie pochwycił, gdy skoczył ku mnie, aby mnie udusić?

Przyłożył chustkę do twarzy, na znak ubolewania, smutku, lub żalu, jakby łzę otrzeć zamierzał, a potem dodał:

— Gdzie moja biedna żona?

Nikt mu nie odpowiedział, ale na wielu twarzach dopatrzył się życzliwego wyrazu współczucia. Baron zbliżył się do niego kordyalnie i uściskał go tkliwie.

Elwirę przeniosła służba do jej sypialni; August klęczał przy ukochanym nauczycielu, któremu lekarz podawał wciąż jeszcze środki cucące. Pokój się wypróżnił, towarzystwo z salonu także się rozeszło.

Lekarz nie pozwolił odjechać Elwirze z mężem, więc Snovard sam do domu powrócił.

Służąca, czuwająca przy Elwirze, wygadała się niebacznie o ciężkiem zranieniu Schwerdtnera. Chora zerwała się z łóżka i wybiegła, zarzuciwszy coś na siebie:

— Gdzie on jest? gdzie on? — wołała.

Usłyszawszy głos córki, baron przybiegł czemprędzej i ledwie zatrzymać ją zdołał.

— Gdzie on? co się z nim dzieje? — pytała Elwira.

— O kim mówisz? — spytał baron pieszczotliwie.

— O nim, o nim.

— Z żalem największym udał się sam do domu, nie chcąc sprzeciwiać się lekarzowi, który tego sobie życzył, abyś została w domu, u siebie.

— Nie pytam się o tego... tego... nie obrażaj mnie ojcze, nie dobijaj. Gdzie Fryderyk? co się z nim stało?

— Rzucił się na twojego męża i... został ranny. Ralf działał w obronie własnego życia.

— Kłamstwo! morderca! ja chcę widzieć Fryderyka.

— Ależ przeniesiono go do szpitala.

— Boże! tam bez opieki, bezemnie — zawołała i padła zemdlona.

Ojciec i bracia przenieśli ją do sypialni, znowu lekarz z pomocą spieszyć musiał. Teraz nie chciała widzieć nikogo przy sobie, ani ojca, ani braci. Zostawiono ją samą. Wtedy zerwała z szyi brylantową kolię, pościągała brylantowe pierścionki i rzuciła je ze wstrętem na posadzkę; były to dary owego człowieka, któremu dziś wierność małżeńską przysięgła. Padła na sofę, wpiotła palce w zwoje włosów i płakała tak rzewnie, jakby jej serce w kawałki pękało.

XIII.

Snovard, we wspaniałym powozie, wracał do domu spokojny, zimny, jakby się nic nie stało. Oczekiwał go nowoprzyjęty kamerdyner. Snovard kazał sobie podać korespondencyę z całego dnia. Zabrał się do czytania, gdy kamerdyner przerwał:

— Wczoraj był tu jakiś dziwny człowiek. Nazwał się kapitanem Murle.

— Czego chciał ten człowiek?

— Mówił, że ma bardzo cenny złoty zegarek na sprzedaż i przyjdzie z nim wczas rano.

Snovard się zaniepokoił, ale trwało to sekunde, więc znowu spokojnie, od niechcenia, ziewając, powiedział:

— Hm, zobaczę...

— Zatem wolno go wpuścić?

— A tak, jeżeli będę w dobrym humorze. Kamerdyner zapytał o dalsze rozkazy.

— Proszę poczekać w przedpokoju, może sobie jeszcze co przypomnę.

Gdy kamerdyner wyszedł, Snovard zaczął przechadzać się zamyślony, niespokojny, potem wszedł do pracowni i usiadł przy biurku. Tarł czoło zmarszczone, chmurne, niekiedy zaciskał pięść, wreszcie chwycił blankiety do telegramów i może z tuzin z nich wypełnił. Były to polecenia do agentów we Frankfurcie, Paryżu, Medyolanie, Wiedniu, Hamburgu i w innych miastach, aby pieniądze ze sprzedaży akcyj i wszelkie inne, wysyłali nie do Berlina, ale do New-Yorku.

— Na każdy sposób trzeba się zabezpieczyć— szepnął do siebie i zadzwonił.

— Depesze oddać zaraz — rzekł Snovard do kamerdynera. Niczego już nie potrzebuję; sam się rozbiorę.

Po wyjściu kamerdynera, udał się do sypialni, ale nie poszedł do łóżka, jeno otworzył żelazną szafkę, wyjął z niej różne papiery, korespondencye i książki rachunkowe, przeglądał je starannie, potem połowę tego podarł i spalił w piecu.

Czynił to wszystko ze zwykłym sobie spokojem, rozważnie, systematycznie, chociaż twarz miał zmienioną, zbladłą. Żelazny człowiek! Tyle wrażeń doznał w ciągu kilku godzin, że innego byłyby z nóg zwaliły, a on oparł się im twardy, nieugięty.

Zaledwie koło godziny trzeciej nad ranem położył się i zasnął, a już o siódmej wstał, ubrał się, wszedł do pracowni, kazał sobie podać śniadanie i poranne wydania dzienników.

Popijając czekoladę, przepatrywał w dziennikach rubrykę najnowszych wiadomości; jeszcze nie było żadnej wzmianki o nocnej przygodzie weselnej w domu barona.

Za chwilę wszedł kapitan Murle. Tym razem wystrojony, według najnowszej mody, układny, swobodny, ale i dumny zarazem.

— Widzę mój Jacku, żeś jak zawsze bezczelny i zuchwały. Czyż nie pomyślałeś o tem, że gdybym tylko słowo pisnął, poszedłbyś pod klucz za ową nocną wizytę, którą mi złożyłeś przed trzema miesiącami w towarzystwie podobnego do ciebie urwisza.

— O, dobrze o tem myślałem, a jednak przychodzę. Czemuż pan nie zawoła policyi? ja czekam.

Snovard uśmiechnął się i przyłożył do ust srebrną filiżankę z czekoladą, a potem ziewnął od niechcenia i rzekł:

— No, do rzeczy!

— Bardzo o to proszę.

— Ukradłeś mi zegarek i chcesz mi go teraz sprzedać. Zdaje ci się, że na tem zarobisz więcej, niż gdybyś go sprzedał faktorowi złodziei. No, może się wreszcie nakłonię do tego interesu.

— Nie wątpię, że bardzo chętnie pan to uczyni.

— Tak, zegarek bardzo piękny, kosztowny.

— E, gdyby tylko na piękności zegarka panu zależało, to nie zrobilibyśmy interesu. I ja też o tem nie myślę, zwłaszcza że ten cenny zegarek już zupełnie zniszczony.

— A więc?

— A więc właśnie dlatego będzie miał tem większą cenę.

— Zagadki prawisz.

— Nie trudne do odgadnienia.

— Mów jasno.

— Zaraz.

— Nudzisz mnie.

— Zaraz. Najpierw muszę panu uprzejmie podziękować, że o naszej wizycie nie doniosłeś policyi, a nawet kazałeś w tajemnicy ją zachować. To bardzo pięknie, prawdziwie po przyjacielsku.

— Bezczelność twoja zaczyna mnie bawić. Cóż dalej?

— Zaraz. Otóż zegarka nie chcieliśmy zatrzymać przy sobie, bo dla nas był za wybredny; my nie lubimy takich zbytków. Sprzedać go w całości, było niebezpiecznie, więc postanowiliśmy go rozebrać. Wyłupaliśmy z niego brylanty, a potem zaczęli odrywać kowerty. Przy tej operacyi uczyniliśmy ciekawe odkrycie.

— Odkrycie? to jakiś nowy dowcip.

— O nie, to nie dowcip mój, ale ważna tajemnica owego zegarka. Tak, zegarek zawierał tajemnicę. Co? pan się dziwi, panie Snovard? A, zapewne, rozumiem. No, gdybyś pan był wiedział o tajemnicy zegarka, tobyś był niebo i ziemię poruszył, aby go odzyskać. Dziwię się istotnie, że człowiek tak mądry, tak przebiegły, tak przewidujący, trzymał u siebie takiego niebezpiecznego zdrajcę. Liczyłeś pan zapewne na wytrwałość swej kasy żelaznej, a nie spodziewałeś się, aby taki był mistrz na świecie, coby się z nią rozprawił.

— Nic nie rozmiem z tej głupiej paplaniny.

— Czy doprawdy? — zapytał szyderczo mulat i rozparł się wygodniej w fotelu, założył jedną nogę na drugą, uśmiechnął się, pokazał dwa rzędy białych zębów, spojrzał na Snovarda przenikliwie i dodał:

— Powiedz mi kochany panie Snovard, a właściwie panie Henryku Starkhort, co pan myślisz o zamordowaniu bankiera Döbla?

Snovard zerwał się blady, zmięszany. Chciał przemówić, ale język mu zdrętwiał, zęby się ścięły, nogi zachwiały i runął we fotel.

— A, a... nie spodziewałeś się, panie Starkhort, że ten zegarek taki papla? Ależ to arcydzieło zegarka. Była w nim pod kowertą skrytka, tak zręcznie wprawiona, że gołem okiem dojrzeć jej nie było można. W niej wyryty napis, dla pana bardzo nieprzyjemny. Mój przyjaciel odpisał, przeczytaj pan.

Snovard odzyskał znowu krew zimną, opanował się zupełnie; mulat podał mu karteczkę.

— Oto odpis.

Snovard wziął kartkę i przeczytał:

„Szanownemu radcy panu Othonowi Döblowi na pamiątkę, wielki książę Józef August“. Przeczytawszy, wrzucił kartkę do pieca.

— A, widzi pan. To panujący książe, chociaż małego państewka, ofiarował Döblowi to cacko. Ale to jeszcze nie koniec. Mam drugą karteczkę. Ciekawa, bardzo ciekawa. Ten poczciwy Döbel musiał być wielkim oryginałem; oto w skrytce zegarka umieszczał notatki. Oto odpis. Czytaj pan.

Snovard wziął podaną sobie kartkę i przeczytał po cichu:

„Ten łotr Henryk Starkhort, zwiący się Snovardem, nadskakuje mi, gdy się przekonał, że go poznałem. Namawia mnie na jutro na schadzkę. Będzie pewnie prosił, abym go nie demaskował; ofiaruje mi za to jaką zyskowną spółkę. Zabawię się jego strachem“.

I tę kartkę rzucił w piec, a potem straciwszy już panowanie nad sobą, zapytał głosem stłumionym, ochrypłym:

— Czy masz przy sobie zegarek i oryginał tej kartki?

— Ej, przecież chyba nie sądzisz, abym taki był głupi. Gdybym tu z tem przyszedł, uwinąłbyś się ze mną, jak z Döblem. O nie, nie głupim. Szkatułkę z zegarkiem i pismem ma przyjaciel i czeka pod bramą. Jeżeli zrobimy interes, zawołam go zaraz. We dwóch nie będziemy się bali.

— Ile żądasz, mów, szkoda czasu.

— Milion marek.

— Zgadzam się. Zawołaj towarzysza i przynoście towar, a ja tymczasem podpiszę czeki.

Mulat ukłonił się z szyderstwem i wyszedł a Snovard wyjął pięć czeków i wypełnił każdy z nich na dwieście tysięcy, do różnych banków w Berlinie. Potem przejrzał jeszcze czeki i nadsłuchiwał, czy nie nadchodzą. Był z siebie bardzo niezadowolony. Poraz pierwszy w życiu dał się złapać. Wyrzucał sobie nieostrożność. Czemu tego zegarka nie wrzucił gdzieś do wody, co go skusiło zatrzymać ten zdradziecki przedmiot? Ale jeszcze czas, jeszcze go odzyska. Niech kosztuje milion, byle go mieć. Czemuż te urwisze nie przychodzą? Jużby tu być powinni. Może się jeszcze namawiają, aby więcej zażądać? Choćby, to i tak być tu już powinni. A, pewnie służący wpuścić ich nie chce, trzeba zadzwonić — nie, już idą, słychać kroki.

Zapukano do drzwi.

— Proszę wejść.

Drzwi się otwierają, ale to nie mulat z towarzyszem, jeno jacyś obcy ludzie. Starszy wiekiem, poważny mężczyzna wszedł śmiało i zbliżył się do Snovarda, a dwaj inni zatrzymali się u drzwi.

— Czy pan jesteś Ralf Tobiasz Jefferson Snovard? — zapytał przybyły.

— Tak, to ja. Czem mogę...

— W imieniu prawa aresztuję pana.

— A, ta nieszczęsna sprawa z dr. Schwerdtnerem? Działałem w obronie własnego życia; ubolewam, że został zabity. Nie miałem złego zamiaru.

— Mogę panu udzielić pocieszającej wiadomości, że dr. Schwerdtner żyje — odezwał się urzędnik ironicznie.

Snovard przygryzł wargi i rzekł spokojnie:

— Bardzo mnie to cieszy.

— Proszę natychmiast udać się z tymi panami.

— Chciałbym poczynić różne zarządzenia — rzekł Snovard i zbliżył się do biurka.

Agenci przyskoczyli ku niemu, jakby go ująć zamierzali.

— Czy panowie sądzicie, że zamierzam rozprawić się z wami, rzekł uśmiechając się bankier. Chciałem tylko zamknąć biurko. Widzicie panowie, że jestem zupełnie spokojny i niczego się nie lękam.

— Tem lepiej. Tymczasem ja obejmę uporządkowanie wszystkiego — mówił starszy urzędnik policyi. Dom pański i biura zostaną pod opieką i dozorem policyi, a pan zechce się udać natychmiast z tymi panami.

Snovard zagryzł wargi, wyprostował się dumnie i z wyniosłością próżnego dorobkiewicza, skłonił się urzędnikowi od niechcenia. Agenci go wyprowadzili.

Przed bramą było zbiegowisko, które służący, były kapral gwardyi króla pruskiego odpędzić usiłował.

— Co to znaczy? — zapytał Snovard.

— Ten mulat, czy ten kapitan Murle, kręcił się tu z jakimś urwiszem. Policya ich pochwyciła w chwili, gdy do sieni wejść mieli.

Z trudem można się było przecisnąć przez tłum ludzki do powozu, którym król giełdy, złoty cielec Berlina pojechać miał do... więzienia.

Snovard skupiał myśli w powozie. O co go oskarżono? O zamordowanie Döbla? Nie, to śmieszne; na podstawie urojonych opowiadań Schwerdtnera uczynić tego nie mogli. O zabójstwo doktora również nie, skoro on żyje. Gdyby tylko te urwisze nie wydały sprawy z zegarkiem? Ej, tego nie uczynią, bo straciliby nadzieję obłowienia się milionem marek. A więc co? Zagadka. Na każdy sposób trzeba zimnym być, spokojnym, panującym nad sobą.

* * *

Około godziny drugiej po północy nikt jeszcze nie spał w pałacu barona Ellericha, służba też czuwała. Elwira leżała bezwładna w swoim pokoju, nie mogąc ni zasnąć, ni ruszyć się; milcząca, bez słów, bez łez, bez czucia, napół martwa. Lekarz z Augustem nie odstępowali Schwerdtnera.

Ranny długo walczył ze śmiercią. Lekarz w pierwszej chwili był pewnym, że już ostatnie wydaje tchnienia, ale mimo tego nie ustawał w stosowaniu wszelkich możliwych środków, aby gasnące życie zatrzymać. Dzięki tym zabiegom znakomitego lekarza, a uczciwego człowieka, wracały choremu siły, śmierć oddalała się coraz spieszniej, aż wreszcie po drugiej w nocy szepnął lekarz z radością do Augusta:

— Ocalony! Trzeba powiedzieć ojcu.

Lekarz kazał służącemu donieść baronowi, że doktor żyje i żyć będzie, że go natychmiast trzeba umieścić w cichym, osobnym pokoju i przygotować wygodne łóżko.

Służący pobiegł z tą wieścią bardzo uradowany. Podawano sobie z ust do ust radosną nowinę. Dowiedziała się też i pokojowa, czuwająca przy Elwirze. Elwira usłyszała bieganinę po kurytarzach, ciągłe rozmowy służby; zadzwoniła na pokojową.

— Co się stało? — zapytała znękanym głosem.

— Pan doktor żyje, lekarz go docucił; przenoszą go do błękitnego pokoju na łóżko.

— Żyje! — zawołała Elwira i zerwała się z łóżka. Żyje, jest tu, a czemuż mi powiedziano, że go do szpitala przeniesiono?

— Pan baron kazał tak mówić, aby panience oszczędzić przykrości.

— Mnie? przykrości oszczędzić? ach! on żyje, jest tu, tu...

Zarzuciwszy coś niecoś na siebie wybiegła Elwira z sypialni i wpadła do błękitnego pokoju. Zanim baron ją spostrzegł, już klęczała przy łóżku rannego i ująwszy lekko jego rękę, przylgnęła do niej ustami. Przeraził się lekarz widząc takie rozdrażnienie baronówny, więc skinął na ojca i braci, aby ją wyprowadzili. Baron ujął córkę łagodnie pod ramię, podniósł i odprowadził do przyległego pokoju. Elwira rzuciła mu się na szyję i rzewnie płakać zaczęła.

— Dziecko moje drogie — mówił baron ze słodyczą — opanuj się. Co ty czynisz? Co służba sobie pomyśli o tem, żeś tego człowieka w rękę całowała?

— Ojcze, kochany mój, daj spokój. Czy myślisz, że ja się troszczę o świat, o ludzi... Nie jestem szaloną w tej chwili, ale byłam nią wtedy... wtedy... gdym... Boże! co ja uczyniłam? Byłam szalona, niegodziwa, bezwstydna. Sprzedać się, zaprzeć serce za połysk złota?... Ojcze mój, jeżeli mnie kochasz, czyń wszystko, aby on żył, aby wyzdrowiał, bo gdyby jego brakło, jabym ani minuty nie żyła.

Baron osłupiał. Nie domyślał się tego, że Elwira kochała Schwerdtnera, a tylko próżność i pycha, tę miłość przygłuszały. Nie domyślał się tego wszystkiego, co wrzało w sercu córki przez kilka miesięcy i że teraz miłość odniosła zwycięstwo nad rozkapryszeniem, nad dumą rodową, nad pró-



ująwszy lekko jego rękę, przylgnęła do niej ustami.

żnością kobiecą. Nie rozumiał tego, jeno to dlań było jasne, że najlepiej nic nie mówić, nie opierać się, aby chorej, rozdrażnionej nie drażnić jeszcze bardziej. Nie wspomniał też ani słowem o Snovardzie, nakłaniał tkliwie, aby udała się na spoczynek i wreszcie udało mu się córkę do sypialni odprowadzić.

Tu uklękła i modliła się gorąco o zdrowie rannego.

XIV.

W kilka tygodni po aresztowaniu Snovarda, nikt w całym Berlinie nie mówił o niczem innem, tylko o awanturze w pałacu barona po uczcie weselnej i o zamknięciu milionera. Popołudniowe dzienniki potwierdziły krążące z ust do ust wiadomości i podały jeszcze wiele szczegółów nowych.

Spodziewano się raczej trzęsienia ziemi, jasnych piorunów śród zimy, najazdu Francuzów balonami na Berlin, niż tego, co się stało, co dzienniki ogłosiły. Pokazało się, że ów Snovard nie był wcale Amerykaninem, jeno Prusakiem, urodzonym w tem samem mieście, co Döbel, że był Döbla szkolnym kolegą i przyjacielem, i dlatego usunął go ze świata, aby uniknąć zdemaskowania.

Też same dzienniki, które jeszcze dnia poprzedniego uwielbiały geniusz pomysłowego bankiera, które go nazywały szczęściem Niemiec, dziś przesadzały się w potępianiu go, w piętnowaniu i z oburzeniem wyrażały się o wadliwem prawodawstwie, które niema paragrafu na takich rozbójników finansowych, z oburzeniem czyniły wyrzuty policyi, rządowi, nawet parlamentowi, że taki skandal mógł się stać w Berlinie. Zaledwie kilka poważniejszych pism zachowało spokój właściwy i trzeźwo rzecz osądzały, oskarżając nie rząd, nie policyę, nie ustawy, ale społeczeństwo. Chciwość grosza, wstręt do pracy, a żądza zysku, pragnienie życia nad stan, lekkomyślne pogrążanie się we wszelkich zbytkach i wybrykach życia. To grzechy społeczeństwa berlińskiego i one stworzyły Snovarda.

Teraz też dopiero zaczęto roztrząsać krytycznie system operacyj finansowych zuchwałego opryszka. Zrozumiano po niewczasie, że cała wielkość tego człowieka polegała na zręcznej reklamie, na jego bezczelności, a na prostoduszności naiwnych i zaślepieniu chciwców łatwego zysku. Co dnia wyłaniały się nowe szczegóły z życia tego mordercy, a ile przekleństw spadało teraz na jego głowę, ile łez spłynęło po twarzach nędzarzy, ile nieszczęśliwców targnęło się na własne życie!

Baron Ellerich sprzedał pałac, pozbył się kosztowności, obdłużył jeszcze majątek Berghausen, byle zwrócić wszystko, co wziął od Snovarda na uregulowanie swoich interesów, byle na niego nie spadły przekleństwa ludzkie. Postanowił wrócić na wieś, pracować na roli i wieść cichy, spokojny żywot ziemianina, zdala od gorączki wielkomiejskiej, zdala od blichtru stołecznego towarzystwa. Chciał czemprędzej opuścić pałac i Berlin, ale zatrzymywała go choroba Schwerdtnera.

Po chorobie groźnej, śmiertelnej, zaczął się doktor dźwigać, wzmacniać. Silny, zdrowy organizm pokonał wszystko. Gwido przeniósł się do innej załogi, w odległy kąt Niemiec; Augusta wyprawiono do zakładu naukowego w Dreźnie, bo chłopczyna popadać zaczął w Berlinie w rozstrój nerwowy, pod wpływem doznanych wrażeń. Do ostatniej chwili pielęgnował swego ukochanego nauczyciela, a teraz zastąpiła go Elwira.

Małżeństwo jej unieważniono, jako zawarte pod fałszywem, samowolnie przybranem nazwiskiem przez Snovarda. Doznane wrażenia przeobraziły ją zupełnie. Wszystko to, co tkwiło w jej duszy szlachetnego, pięknego, rozwinęło się teraz, dobyło z pod nasypiska kaprysów i narowów. Zrozumiała, że kobieta tylko w miłości szczęście znaleść może. Ale dręczyła ją myśl, czy Schwerdtner nią nie pogardza, czy jej przebaczy, czy się jej wzajemnością odpłaci.

Pielęgnowała go jak siostra miłosierdzia, bez wytchnienia, z całem poświęceniem, a on przyjmował tę opiekę z wdzięcznością, z uszanowaniem, uwielbieniem. I zwolna zaczęli się rozumieć, chociaż o miłości nie mówili; zwolna powiedzieli sobie wszystko, bez słów.

Nadszedł maj. Schwerdtner wyzdrowiał już, chodził o własnej mocy, ale z polecenia lekarza musiał wstrzymać się przez kilka miesięcy od pracy umysłowej i wyjechać w zacisze wiejskie. Baron zaprosił go do Berghausen.

Przed wyjazdem stanął doktor przed komisyą sądową, jako świadek w sprawie Snovarda. Gdy usłyszał prawdziwe nazwisko mordercy: „Starkhort“, zawołał:

— To on! Teraz sobie przypominam. To było owe słowo twarde, wyrzucone głośno przez Döbla. Nie mylę się, o nie. Brzmi teraz wyraźnie, odgrzebało się w pamięci. Tak, tem słowem krzyknął na zabójcę umierający Döbel.

W kilka dni potem wyjechał baron na wieś z córką i Schwerdtnerem. Cudowna wiosna, urocze lato, cisza wiejska i zacne serca opiekunów, działały na doktora kojąco, uzdrawiały go, umocniły, nawet odświeżyły. Czas schodził przyjemnie na przechadzkach po przestronnym parku, na grze w szachy.

Doktor grywał z Elwirą, przyczem bywało

wiele rozmowy bez słów, a coraz wyraźniejszej, coraz głębiej sięgającej w serce. Zwał ją „siostrą miłosierdzia“, a ona tę nazwę przyjmowała chętnie, z zadowoleniem, bo pielęgnowanie i rozweselanie tego, co ją wydarł z nieszczęścia, co jej ocalił i życie i cześć imienia, poczytywała sobie za najmilsze zadanie życia, za obowiązek wdzięczności, za potrzebę i serca i duszy. Do prawdziwych przyjemności należały też listy Augusta, który co tydzień pisywał do swego nauczyciela, a coraz tkliwiej, coraz śmielej wynurzał przed nim kiełkujące rozpędy młodzieńczych ideałów. Cała zacna dusza tego dobrego chłopca wylewała się w listach, rwała się w nich do szlachetnych czynów, pociągana poezyą tego, co uczył kochać a bronił nienawidzieć, poezyą najszlachetniejszego z Niemców: Szylera.

We wrześniu Snovard, a właściwie Henryk Starkhort, stawał przed sądem przysięgłych. Z całych Niemiec zjeżdżali ciekawi, cała Europa wysłała korespondentów dziennikarskich. Bilety wstępu na salę rozpraw sądowych rozchwytano w lot i wykupywano je z rąk do rąk. Byli tacy, co za bilet po kilka tysięcy marek odstępnego płacili. Kto nie mógł dostać się do sali, stał pod gmachem sądowym; tysięczne tłumy cisnęły się falą po przyległych ulicach.

A przed ławą przysięgłych stanął zabójca Döbla, zimny, spokojny, nieugięty, obojętny, jakby przewodniczył na posiedzeniu akcyonaryuszy, lub rozprawiał w swoim gabinecie z petentami. Dziwny okaz człowieka bez nerwów, bez czucia; człowieka z kamienia, czy z żelaza. Żadnego w nim przygnębienia, żadnego lęku, żadnego nawet pomięszania. Tylko martwe dusze, trupy moralne tak wyglądać mogą. A nie było to sztuczne, wymuszone; wcale nie; u tego człowieka było to naturalne; on nie umiał ani śmiać się, ani płakać; ani weselić się, ani smucić. Ciało zasuszone, dusza martwa, mumia moralna.

Akt oskarżenia zawierał obfity wykaz grzechów żywota, zebrany według materyału, nadesłanego z miejsca rodzinnego zbrodniarza, z Londynu i z wielu miast amerykańskich.

Lat temu dwadzieścia siedm, odziedziczył Henryk Starkhort niewielki spadek. Był wtedy dopiero dwudziestoletnim młodzieniaszkiem, a już umiał posłużyć się krzywoprzysięstwem i dzięki temu spadek mu przyznano, z krzywdą innych, do spadku uprawnionych. Z tak uczciwie nabytym kapitalikiem udał się do Londynu, gdzie otrzymał posadę w prywatnym banku; tam spotkał się z dawnym kolegą szkolnym Döblem, który w owym banku już dawniej posadę uzyskał. Zaprzyjaźnili się jeszcze bardziej i na spółkę rozpoczęli operacye finansowe od tego, że oszukiwali swego pryncypała, że szachrowali na giełdzie, że sprzedawali konkurentom tajemnice kantorowe banku, w którym pracowali. Był wart Pac pałaca, a pałac Paca; jeden był większym drabem, niż drugi.



Wywrócenie tramwaju w Warszawie: Ś. p. Marta Widulińska.
(Do artykułu na str. 2).

Zaledwie Starkhort przebył rok w Londynie, przekonały się władze jego rodzinnego miasta, że się krzywoprzysięstwa dopuścił i zażądały wydania go sądom niemieckim. Starkhort dowiedział się o tem, ukradł zręcznie z kasy pryncypała znaczną kwotę i uciekł do Ameryki. Tu pojawia się jako Ralf Snovard w budach jarmarcznych, gdzie służy do zwabiania, zwoływania publiczności, to znowu był sekretarzem jakiegoś pośledniego cyrku, aż wreszcie dostał się do kopalń złota w Kalifornii. Tu poznał „kapitana Murle“, czyli właściwie Johna Archera. W jednym sypiali namiocie, wzajemnie się wspomagali, a potem, gdy Starkhort porastał w pierze, Archer służył mu za agenta, za naganiacza.

Starkhort nie zabierał się wcale do pracy kilofem; to było dla niego za mozolne, a za mało zyskowne. Zajął się spekulacyą. Nabywał tereny za bezcen, a potem rozpuszczał wieści przez Archera i płatnych innych agentów, o ich zdumiewającej wydatności i z ogromnym zyskiem je sprzedawał.

Zebrawszy spory kapitalik, założył mały bank w kopalniach, na usługi robotników; dawał im zaliczki, handlował z nimi, oszukiwał przytem i wyzyskiwał. Zwrócono się do władz, ze skargami na wyzyskiwacza; było dwóch świadków, niebezpiecznych dla niego; uprzątnął ich na czas, zastrzeliwszy znienacka. Tłomaczył się, że działał we własnej obronie; dowieść mu zabójstwa rozmyślnego nie było można, więc sąd puścił go znowu bezkarnie.

Bądźcobądź, ów bank w kopalniach zaczynał być niewygodnym dla Snovarda, więc porzucił posterunek i urządzał różne zakłady „wesołych rozrywek“ to w Arizonie, to w Newadzie. „Wyrobiwszy sobie stosunki“, poznawszy ludzi, rozpoczął akcyę na szersze rozmiary i założył wielką szulernię, elegancko urządzoną, coś niby jak „Monte Carlo“. To się popłacało znakomicie; nie oszustwem, ale wprost rabunkiem mnożył kapitały. Upajał lekkomyślników, podsuwając opium i okradał. Kilku poznało się na tem, rozgłosiło. Powstało oburzenie, zawrzała burza nad głową finansisty. Rzucono się z kijami i rewolwerami na opryszka, ale uciekł sprytnie i zniknął ludziom z oczu.

Aż do tej pory służył mu John Archer i zarabiał przy nim. Gdy zniknął, już go nie zobaczył, aż dopiero w Berlinie. Tymczasem Snovard udał się do Brazylii, następnie do Argentyny. W Buenos Ayres podjął spekulacye finansowe tak szczęśliwie, że w ciągu roku był już prawie milionerem.

Ówczesny prezydent Awellanuda zwrócił uwagę na głośnego już finansistę i posługiwał się nim, gdy w czasie rewolucyi w r. 1884 potrzebował gotówki. Snovard zuchwałymi pomysłami zdobył ją dla prezydenta, oczywiście z największym dla siebie zyskiem i od tej chwili wyrastał szybko na wielkiego bankiera. Stało się nawet, że argentyński minister skarbu wyprawił go raz w nadzwyczajnem poselstwie, celem zawarcia układów finansowych z rządem Północnych Stanów amerykańskich.

Rozzuchwalony tem powodzeniem, pewien tego, że w Niemczech nikt go już nie pozna, powziął myśl wrócenia do Europy, gdzie spodziewał się milionowych zysków ze sfinansowania pożyczki argentyńskiej. Berlin wydał mu się najkorzystniejszym terenem operacyj, bo tu wybujały wszelkie żądze, wszelkie lekkomyślności, wszelkie zboczenia skutkiem tego zawrotu głowy, który się manią wielkości nazywa, a który ogarnął i nawskróś przeniknął Prusaków i Berlińczyków. Na swoje nieszczęście spotkał tu Döbla, dawnego towarzysza i wspólnika, a Döbel na swe nieszczęście poznał dawnego Henryka Starkhorta. I oto skończyło się mordem to spotkanie dawnych kolegów.

Po odczytaniu aktu oskarżenia, zapytał podsądnego przewodniczący trybunału, czy się do winy poczuwa.

W sali nastała cisza; każdy zaparł oddech, nadsłuchiwał, wyczekiwał.

— Tak — odpowiedział Snovard — nie zaprzeczam.

Wypowiedział te słowa z takim spokojem, tak zimno, obojętnie, jakby odpowiadał na pytanie, czy zadowolony z podanego sobie cygara.

Zdumienie ogarnęło wszystkich. Przewodniczący zapytał, co może podsądny przytoczyć na swoją obronę, czy żałuje popełnionego czynu?

Snovard wyprostował się i zabrał głos z największym spokojem. Mówił wyraźnie, dobitnie, stanowczo:

— Działałem zawsze z konsekwencyą żelazną, z rozmysłem, z planem, aby dopiąć celu. Celem mym było zostać potęgą finansową i trząść światem z kantoru bankowego, jak trzęśli nim wielcy politycy z gabinetów ministeryalnych, wielcy wojownicy z obozów, wielcy monarchowie ze swoich tronów. Czyż oni nie usuwali wszystkich i wszystkiego, co im na drodze do celu zawadzało? Czynili toż samo, co ja czyniłem. Gnębili podbite narody, wynaradawiali wyszachrowane kraje, zabijali w rozbójniczych wojnach tysiące ludzi. Czyż to nie większe zbrodnie od moich? Czy moralność w polityce ma być inną, niż w życiu prywatnem? Ale owym politykom, co zabijali całe narody, owym wojownikom, co na rzeź posyłali krocie ludzi, stawiacie pomniki, a mnie poślecie na szafot. Gdybym był moją energię i siłę woli rozwinął w zawodzie politycznym, nazywalibyście mnie wielkim kanclerzem i za życia pomniki w całych Niemczech wnosili. Teraz odczytajcie mi wyrok śmierci. Czekam spokojnie, zginę z tą samą obojętnością, z jaką gubiłem innych. Nie żałuję moich czynów, bo spełniłem je z rozwagą i rozmysłem. Żałuję tylko tego, że wraz z Döblem nie usunąłem pana Fryderyka Schwerdtnera. Zdawało mi się, że to nie potrzebne, a ja bez potrzeby nic nie podejmowałem. To była pomyłka, bardzo głupia pomyłka i nad nią prawdziwie dziś ubolewam.

Skończył mówić. Wyrok ogłoszono, a w kilka dni potem wstępował Snovard na szafot tak lekko i swobodnie, jakby wsiadał do powozu, mając jechać na bal, lub z wizytą.

* * *

W połowie października rozpoczął Schwerdtner wykłady w uniwersytecie wiedeńskim, a w Berghausen przygotowywano się do uroczystości weselnych.

W styczniu już poczciwy pastor, opiekun Schwerdtnera, błogosławił młodej parze w kaplicy pałacowej i rzekł przy ślubie:

„Miłość tylko uszczęśliwia“, a Elwira zapytana, czy ma szczerą i nieprzymuszoną wolę pojąć Fryderyka za małżonka, odpowiedziała śmiało, głośno i szczerze: „mam“ i spojrzała z radością na chłopskiego syna, który miał książęce szlachectwo duszy.

I runął w domu barona kult dla złotego cielca, a nastała błoga, prawdziwie uszczęśliwiająca era poprzestawania na małem, zadowolenia wewnętrznego i moralnego spokoju.

KONIEC.

Dramat miłosny w Warszawie.

Przed kilku dniami rozegrał się w Warszawie krwawy dramat miłosny, zakończony śmiercią młodej dziewczyny. Ofiarą tą jest ośmnastoletnia, odznaczająca się niezwykłą urodą uczenica siódmej klasy drugiego gimnazyum żeńskiego w Warszawie, Serafina Czyżówna.

Czyżówna, która z powodu utraty rodziców,



Dramat miłosny w Warszawie: Ś. p. Serafina Czyżówna.

mieszkała u swego szwagra, kapitana Chądzyńskiego. W domu opiekuna swego poznała się Czyżówna z chorążym drugiego Orenburskiego pułku kozaków, Popowem, który zaczął starać się o jej rękę i wkrótce pozyskał jej wzajemność. Niestety na przeszkodzie stanął zakochanym opiekun, który uznając, iż wychowanka jego jest stanowczo za młoda, aby wstąpić już w związki małżeńskie, a Popow nie przedstawia odpowiedniej partyi, odmówił kategorycznie przyzwolenia. Zakochani nie mogąc przełamać oporu stanowczego opiekuna, postanowili szukać szczęścia w śmierci, wierząc, że gdy zakochani zejdą z tego świata dobrowolnie, złączeni miłością, na tamtym żyć będą wiecznie razem.

Pamiętnego wieczoru przed północą udali się zakochani do restauracyi przy ulicy Marszałkowskiej, gdzie postanowili odebrać sobie życie. Przed tem jeszcze zawiadomili o tem opiekunów w listach, które polecili odnieść natychmiast chłopcu restauracyjnemu.

Gdy kapitan Chądzyński otrzymał tę żałobną wieść, pospieszył zaraz na wskazane przez chłopca miejsce, było już jednak za późno. W chwili gdy nieszczęśliwy opiekun usiłował otworzyć zamknięte drzwi gabinetu, rozległo się tam kilka strzałów. Dwoma strzałami ranił Popow śmiertelnie Czyżównę, która po wyprowadzeniu do dorożki zmarła w drodze, cztery zaś strzały skierował do siebie, lecz zranił się tylko powierzchownie. Po tym czynie udał się Popow natychmiast do swej przełożonej władzy, gdzie opowiedział o całem zajściu. Obecnie znajduje się w szpitalu pod obserwacyą psychiatryczną.

Kronika tygodniowa.

(Co to jest uniwersytet. — Awantury w uniwersytetach niemieckich. — Polityka »burszów«. — Profesorowie przeciwko profesorom. — Niefortunna rezolucya akademików krakowskich. — Dawniej a dzisiaj. — Zdaleka od Niemców. — Służące o strejku piekarzy.)

Powiedz, szanowny Czytelniku, co to jest uniwersytet? Odpowiadasz bez namysłu, że to jest przybytek nauki, w którym profesorowie, oddani wyłącznie wiedzy, pragną wiedzę tę zaszczepić w uczniów, żądnych wyłącznie nauki i poświęcających się jej ciałem i duszą. Przypominasz sobie uniwersytet wileński, przypominasz liceum krzemienieckie, przypominasz uniwersytet warszawski i z bólem serca rozmyślasz nad zgaszeniem tych ognisk wiedzy przez brutalną przemoc. Cieszysz się prastarym uniwersytetem Jagiellońskim i zwróconym Polsce uniwersytetem lwowskim. Rząd po macoszemu obchodzi się z niemi — ale mimo to i profesorowie i uczniowie spełniają swoje obowiązki. Zdarzają się w nich czasem błędy ubolewania godne, ale istnieje świadomość tych błędów i chęć unikania ich na przyszłość.

A co to są niemieckie uniwersytety w Austryi? Są to przedewszystkiem oczka w głowie rządu austryackiego, który je otacza nadzwyczajną opieką materyalną i moralną. Ufając w tę opiekę, uniwersytety owe stały się ogniskami brutalnych walk politycznych, ucisku narodowego, niesmacznych nagonek religijnych, pospolitych bójek, a wreszcie śmiesznych arlekinad mundurowych na tle „burszenszaftów". Zdemolować w Insbruku umieszczony kątem na przedmieściu włoski wydział prawniczy, było dla studentów drobnostką, a rząd czemprędzej ustąpił, nie myśląc o zadosyćuczynieniu dla Włochów, obrażonych w tak brutalny sposób przez niemieckich „burszów". Co tam Włosi, byle tylko „bursze" byli zadowoleni. Wprawdzie Włochy były siedzibą wspaniałej kultury wówczas, gdy sławetna Germania była dziczą, ale ponieważ Germania ma siłę, więc nie ogląda się na żadną kulturę.

W owym Insbruku jest profesorem prawa kościelnego niejaki Wahrmund, człowiek do niedawna zupełnie nikomu nieznany, prócz kolegów miejscowych, uczniów i owego urzędnika podatkowego, który mu wypłaca pensyę. Wahrmund wygłosił w Wiedniu odczyt agitacyjny, wydał go następnie jako broszurę, skutkiem czego stronnictwo chrześcijańsko-społeczne wystąpiło przeciwko niemu z całą siłą swych wpływów politycznych. Wmięszali się do tego rozwydrzeni studenci niemiecko-narodowi, to jest prusofilscy i teroryzują profesorów, kolegów, zwanych klerykalnymi, opinię publiczną, a nawet rząd.

Tak zwani „bursze" wszechniemieccy proklamują powszechny strajk, a profesorowie błagają ich, ażeby odstąpili od tego zamiaru. Ci sami „bursze" powiadają, że studenci katoliccy nie mają prawa noszenia mundurów, czyli tak zw. „barw" i „rapierów", ponieważ potępiają pojedynek. Senaty przyznały „burszom" słuszność. Co więcej zanik zupełny godności własnej i niezawisłości doszedł pomiędzy profesorami niemieckich uniwersytetów w Austryi do tego stopnia, że kolegium profesorów techniki w Grazu wyraziło ubolewanie z powodu uchwały profesorów wydziału prawniczego w Insbruku, mocą której wykłady profesora Wahrmunda zostały na razie wstrzymane. Dla przypodobania się „burszom" profesorowie występują przeciwko profesorom, potępiając się nawzajem i ograniczając swą wolność. A rząd przypatruje się temu spokojnie, a nawet zapuszcza się w rokowania ze studentami, gdyż minister oświaty Marchet ma wielki respekt przed wszechniemiecką opinią publiczną, a jeszcze większe przywiązanie do teki ministeryalnej.

Nie wspominałbym o tem wszystkiem, gdyby nie fakt, że nagle część słuchaczów uniwersytetu Jagiellońskiego uznała za stosowne wmięszać się do prusofilskiego galimatyaszu i na zwołanem „ad hoc" zgromadzeniu uchwalili rezolucyę przeciwko ograniczaniu wolności uniwersytetów przez prądy klerykalne.

Nie jestem obrońcą klerykalizmu, ale w tym wypadku trzeba być bardzo naiwnym, ażeby uwierzyć w brednie prusofilskich studentów, podjudzanych przez prasę wiedeńską, znaną ze swoich „przekonań". Gdyby profesor Wahrmund w swoim odczycie i w swojej broszurze był wystąpił w kierunku przeciwnym, a rząd pociągnął go do odpowiedzialności i pozbawił nawet katedry — ci sami „bursze" i adherenci ich nie prawiliby z pewnością o naruszeniu wolności nauki, ale odwrotnie urządziliby owacyę ministrowi oświaty. Sfora prusofilska i wszystko, co za nią idzie, ma swoje cele i świadomą jest swoich dróg, a „bursze" są tylko narzędziem w jej ręku, ale co ma do roboty przy takim warsztacie polska młodzież uniwersytecka, tego nie rozumiemy. W uniwersytetach powinna panować zupełna wolność badań i poglądów naukowych, zupełna wolność przekonań politycznych, religijnych i społecznych. Na to zgoda. Ale niemiecko-narodowi studenci żądają wolności tylko dla siebie — dla reszty jest pięść. Studenci owi biją Słowian i Włochów, biją tak zwanych klerykałów, biją tych, którzy nie uwielbiają Berlina, słowem są wcieleniem ciemiężycielstwa. Łączyć się z nimi jest poprostu niemowlęctwem i analfabetyzmem w zasadniczych sprawach.

Będąc przez dwa lata słuchaczem — niestety tylko „słuchaczem" — uniwersytetu w Wiedniu, miałem sposobność z ciekawości poznać życie „burszów", bujne i barwne w wyobraźni młodzieży, ale w rzeczywistości banalne. Przepędzać czas na „bumlach", komersach i codziennych schadzkach piwiarnianych — dobre to w pierwszym roku akademickim, ale marnować lata całe na tego rodzaju zwyczajach, to już chyba nie jest po akademicku. A trzeba wiedzieć, że na uniwersytetach niemieckich nie jest rzadkością taki sobie „bursz" stary — „bemoostes Haupt" — który ma 20 semestrów, zaś ani jednego egzaminu. Przewodniczy w knajpach i śpiewa z przejęciem:

„Ich bin der Fürst von Thoren
Zum Saufen auserkoren".

I piją też na umor, a potem urządzają filistrom kawały. I podobne rzeczy należy im wybaczyć, pod warunkiem, że nie są regułą, ale wyjątkowem wyładowaniem energii młodzieńczej. Ale „bursze" poprostu zapijają się i urządzają obecnie już nie kawały, tylko pospolite napady i bójki. I słusznie powiada inna ich piosenka: „*Aus ist die alte Herrlichkeit*". Uprawianie szermierki przez „burszów" jest godnem pochwały, zrozumieć można także dumę takiego pana, który przechwala się bliznami na policzkach i nosie, ale narzucanie bezmyślnych pojedynków tym, którzy je potępiają całkiem słusznie, jest niesmacznem, zwłaszcza że bursze sprawie tej nadają nadzwyczajną wagę.

Za moich czasów uniwersytet wiedeński nie znał dzisiejszych nagonek na Słowian, a tem mniej wstrętnego prusofilstwa. Profesorowie, znani ze swoich klerykalnych poglądów, wykładali spokojnie obok profesorów bardzo postępowych, studenci uprawiali politykę, wiedli spory, czasem nawet zdarzały się bójki — ale nie było teroryzmu, nie odwoływano sie we wszystkiem do pięści. A przedewszystkiem nie było profesorów, goniących za tanią popularnością z krzywdą dla nauki i godności uniwersytetu.

Ten typ profesorów, żądnych reklamy rozwielmożnił się wielce w uniwersytetach niemieckich Austryi. Znają te stosunki dobrze słowiańscy studenci uniwersytetu wiedeńskiego, to też tamtejsze słowiańskie stowarzyszenia akademickie uchwaliły rezolucyę, w której oświadczają, że będą zawsze bronili wolności nauki, ale że sprawy Wahrmunda nie uważają za dostateczny powód do strajku. To powinno być wskazówką dla akademików krakowskich.

Wogóle trzymajmy się jak najdalej od Niemców. Już nam dosyć narzucają niemczyzny nasze szkoły średnie, to też przeciwko temu zatruciu myśli naszej szukajmy leku w rodzimej kulturze, a jeżeli już mamy sięgać do obczyzny, to omijajmy Niemców wprost jak zarazę. A przedewszystkiem umiejmy być gospodarzami na własnej ziemi naszej. Wystarczy wyjechać trochę tylko na zachód od Krakowa, choćby tylko do Krzeszowic, nie mówiąc już o Chrzanowie, ażeby się przekonać, jak się u nas panoszą hakatyści i jak my im nadskakujemy. Przybłęda niemiecki dzięki naszej pobłażliwości, a może nieudolności, bardzo szybko z potulnego gościa przemienia się w aroganckiego gospodarza. Oni są wszędzie jednacy: w Berlinie, czy w Łodzi, czy nad Wołgą, czy w Chinach. Gruboskórne paroby, biorący bez szemrania w gębę od silniejszych, a znęcający się z lubością nad słabszymi.

Tydzień bieżący rozpoczął się dla Krakowian nie bardzo przyjemnie, a mianowicie strajkiem piekarskim i niepogodą. Ponieważ w poniedziałek rano nie wychodzą dzienniki, więc publiczność nic nie wiedziała o rozbiciu się niedzielnych rokowań pomiędzy panami majstrami a czeladnikami i dopiero dowiedziała się o wybuchu strajku od służących, które powróciły po największej części ze sklepów bez bułek i rożków.

— Niema ani na lekarstwo bułek — rzekła do mojej żony służąca. Widać czeladnicy strajkują, bo przecież nie sposób, ażeby wszyscy spali po niedzielnej pijatyce.

— Genialny wniosek, odpowiadający zupełnie rzeczywistemu stanowi rzeczy — odrzekłem nieco markotny, krając do kawy chleb z poprzedniego dnia.

Idąc do zajęcia, spotkałem w sieni grupę służących z pustymi koszykami. Miały rozpromienione twarze, jakgdyby każda z nich wracała ze schadzki.

— Ja tam już moją herbatę wypiję z chlebem, albo bez niczego, ale cieszy mnie strasznie, że „stara" będzie cały dzień stękać na strajk. Posyłała mnie coraz do innego sklepu po rożki. Trzy razy byłam taka głupia i biegłam do sklepu, ale potem tom sobie postała w sieni przez kilka chwil i wracałam do domu, opowiadając „starej", że niema żadnego pieczywa, bo strajk.

Tak opowiadała tłusta blondynka chudej brunetce, która odpowiedziała zgryźliwie:

— Moje harpagony jedzą tylko „grahama", to się poratują bardzo łatwo u Mazanka, albo u Hawełki.

— Mój sobie z tego nic nie robi — zauważyła trzecia. Powiedział, że jeżeli tylko niema w browarach strajku, to już wszystko dobrze.

Czwarta milczała, aż wreszcie rzekła z powagą:

— Tym obijduszom, co to się nazywają państwem, to możnaby dopiero zasolić wtedy, gdyby dla panów zastrajkował jeden i drugi Hawełka, każdy trafikant i każdy lichwiarz, a dla pań modniarki.

Zbudowany wielce temi poglądami społecznymi uczestniczek sejmiku w sieni, podążyłem do pracy, ażeby napisać niniejszą kronikę.

h. j—e.

Krajowy kurs blacharski.

(Do illustracyi na stronie 4).

Przez kilka tygodni odbywał się we Lwowie krajowy kurs majsterski blacharzy. Na kurs ten uczęszczało przeszło 20 czeladników, przybyłych z rozmaitych stron kraju, aby pod kierunkiem fachowo wykształconych nauczycieli rozszerzyć swe wiadomości.

Kurs ten, subwencyonowany przez Wydział krajowy z funduszu przemysłowego, wydał zupeł-

nie zadowalniające rezultaty i zakończył się w ubiegłym tygodniu egzaminem.

Zdjęcie grupy uczestników, wraz z nauczycielami i kierownikiem zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Zaszczytne odznaczenie.

(Do illustracyi na str. 10.)

Dzienniki doniosły przed paru dniami, iż sekretarz lwowskiej izby handlowej i przemysłowej, dr. Władysław Stesłowicz, zostanie powołany do nowo utworzonego ministeryum pracy w charakterze radcy dworu.



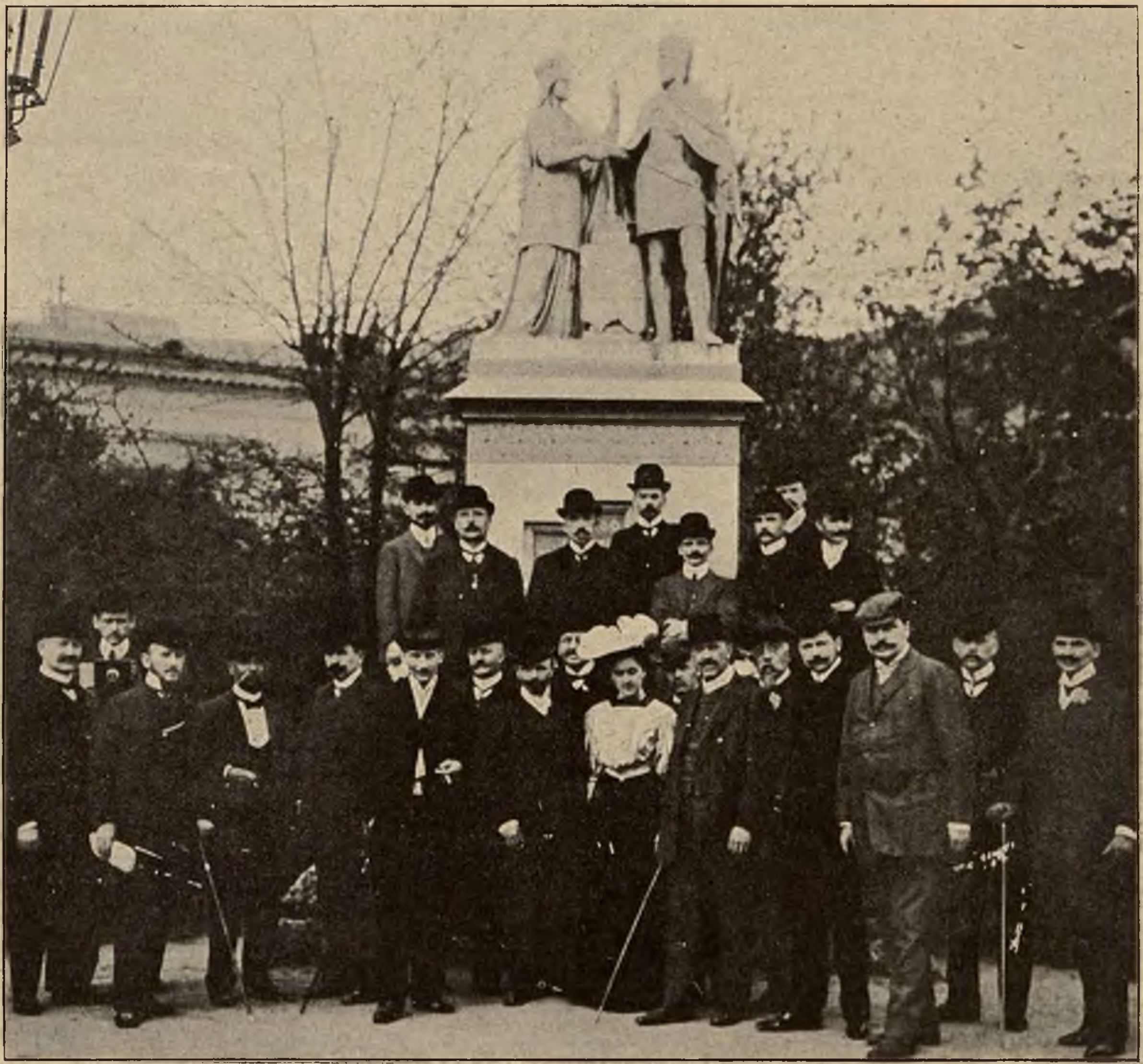
Ukaranie redaktora: Leo Belmont.

Wiadomość to istotnie nie tylko doniosła, ale bardzo pomyślna, Dr. Władysław Stesłowicz bowiem zdobył sobie zarówno swemi zdolnościami, jak wiedzą wszechstronną oraz niezwykłą pracowitością powszechny szacunek w szerokich kołach Lwowa. Jako radny miasta, jako członek wielu instytucyi, zaznaczał wszędzie swą działalność nie słowami, nie wymową, ale przedewszystkiem czynami.

W dziejach uprzemysłowienia Galicyi, nazwisko dr. Stesłowicza zapisane będzie chlubnemi głoskami, wierzyć też należy, że na nowem stanowisku pracować będzie z tą samą gorliwością na korzyść kraju i narodu.

Ukaranie redaktora.

Do całego szeregu kar prasowych, jakie co raz częściej powtarzają się w Królestwie Polskiem, przybywa obecnie skazanie p. Leo Belmonta, redaktora pełnego oryginalności tygodnika „Wolne Słowo", na zapłacenie dwustu pięćdziesięciu rubli lub na wypadek niewypłacalności albo odmówienia zapłaty, na dwa tygodnie aresztu. Skazany redaktor wiadomość o tym smutnym dla siebie fakcie podaje w swym organie do wiadomości czytelników, tłomacząc się zarazem, który rodzaj kary wybrał i dlaczego. Ponieważ „Wolne Słowo" nie nagrodziło jeszcze redaktora za jego pracę ani złamanym szelągiem, kierownik tedy pisma „w rezultacie półrocznej pracy nie będąc przygotowanym na nieprzewidziane wydatki, a natomiast będąc zmuszonym obracać wpływy od prenumeratorów na dalsze wydawnictwo pisma, jest oczywiście niewypłacalnym względem władzy, karzącej jego winy", uprasza więc czytelników, by nie wzięli mu za złe, że wybiera z konieczności areszt dwutygodniowy w Ratuszu.



Wioślarze warszawscy w Krakowie: Grono uczestników wycieczki pod pomnikiem Jadwigi i Jagiełły na plantach w Krakowie.

Wioślarze warszawscy w Krakowie.

W ubiegłym tygodniu bawiło w Krakowie na wycieczce grono wioślarzy warszawskich. Na zwiedzaniu pamiątkowego grodu i jego okolicy zeszło uczestnikom wycieczki parę dni.

Nie pominięto żadnego miejsca godnego uwagi, najwięcej zaś czasu poświęcono zwiedzaniu zamku Wawelskiego, gdzie roboty około odnowienia postępują raźnym krokiem naprzód.



Ochronka żydowska w Tarnopolu: Grono uczestników otwarcia ochronki z fundatorką pośrodku, oraz dziatwa z ochronki.

Wycieczkę uwieczniono kilku zdjęciami fotograficznemi, z których jedno zamieszczamy dziś w reprodukcyi.

Ochronka żydowska w Tarnopolu.

W szeregu nielicznych w kraju naszym instytucyj wychowawczo-humanitarnych, stanęła jako jedna z pierwszorzędnych nowa „Ochronka dla osieroconych dziewcząt żydowskich" w Tarnopolu, założona z jubileuszowej fundacyi imienia błp. aptekarza Leona Fleischmana i Julii z Hammerów Fleischmanowej. Że powstanie jej było na czasie, świadczy wielkie zainteresowanie, z jakiem się ta instytucya spotkała.

Straszliwa nędza, z którą największa część ludności żydowskiej toczy z dnia na dzień zaciętą walkę, najboleśniej daje się odczuć dzieciom. Te wątłe istoty, którym najbardziej potrzeba dużo światła, ciepła, powietrza — duszą się wprost w ciemnych, wilgotnych, stęchłych i ciasnych norach, zwanych szumnie izbami — nie dziw więc, że wychodzą z nich na całe życie osłabione, skoszlawione, bezsilne. A już najnieszczęśliwszemi z nieszczęśliwych są te, które pozbawione rodziców, w zupełności są wydane na pastwę zawistnych losów. Więc troska o młode pokolenie powinna być jedną z pierwszych i najważniejszych u każdego społeczeństwa.

Ze szczerą zatem radością i zadowoleniem witać należy każdy czyn, który tej nędzy chce przeciwdziałać. Takim czynem jest bezsprzecznie nowo powstała w Tarnopolu ochronka żydowska, zawdzięczająca założenie pełnej szlachetności inicyatywie fundatorki Julii z Hammerów Fleischmanowej. Jej zawdzięcza ochronka własny dom wraz z całem wewnętrznem urządzeniem, umeblowaniem, urządzeniem gospodarczem i kuchennem, pościel, odzież, obuwie, bieliznę i wszystkie rekwizyta szkolne dla wychowanków, a ponadto stałą dotacyę roczną w kwocie 2000 koron.

Dla poparcia celów tej ochronki zawiązało się w Tarnopolu osobne stowarzyszenie, a należy się spodziewać, że tak piękny i szlachetny cel znajdzie należyte zrozumienie i pomoc.



Aleksandra Lüde.

Aleksandra Lüde.

W wielkim i szlachetnym stylu artystka, niezrównana w rolach salonowo-konwersacyjnych, której nazwisko ściśle jest związane z najpiękniejszym rozkwitem polskiej sztuki dramatycznej, święci w dniu 22 b. m. jubileusz 30-letniej pracy, pełnej zasług.

Przeszedłszy doskonałą szkołę w teatrze krakowskim za dyrekcyi Stanisława Koźmiana, a obdarzona niepospolitemi zaletami wdzięku, urody, inteligencyi, wytwornego tonu, a przedewszystkiem talentu, szybko zajęła na scenie warszawskiej pierwszorzędne stanowisko w komedyi i dramacie, dzierżąc je niepodzielnie do ostatniej chwili. Niedawno odniosła jeden z największych tryumfów w komedyi „Miłość czuwa", w roli margrabiny.

Pani Lüde posiada ogromny repertuar, w którym ma wiele ról niezrównanych; w sprawach teatralnych kieruje się zawsze rozumem, wyrozumiałością i taktem, w otoczeniu swojem więc cieszy się niezwykłą sympatyą i szacunkiem. Oto profil artystki i kobiety dobrej, nadzwyczaj miłej i lubianej we wszystkich sferach Warszawy.

Dla uzupełnienia tego obrazu dodać należy, że pani Lüde jest małżonką głośnego artysty-malarza p. Franciszka Żmurki.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

10 Ciąg dalszy.

— Zamordowali! A kto panie komisarzu?

— Właśnie ciebie chciałem się o to spytać— rzekł Haller z naciskiem i spojrzał bystro na więźnia.

— Mnie? A skądże ja mogę o tem wiedzieć.

— No tak, myślałem, że tam w szynku, gdzieś, ktoś z twoich przyjaciół.

— Ja między zbójami przyjaciół niemam. Czasem mi się trafi jakieś nieszczęście, że mnie posądzą niewinnie, ale z takimi co zabijają, to ja się nie wdaję. To co innego panie komisarzu zabłąkać się czasem niechcący do innego mieszkania i wziąć sobie coś tam na pamiątkę, a co innego zabijać ludzi.

— A nie znasz ty Zofii Strobel na Hechtengasse?

— Zofii? Nie, nie znam. Miałem już różne przyjaciółki, ale jakoś mi się nie przytrafiło dojść do litery Z. Ostatnia w alfabecie była na P., Paulina.

Nawet tak doświadczony komisarz jak Haller zniecierpliwił się odpowiedziami Freda. Czepiwszy się zawzięcie tej myśli, że on jest mordercą, wierzył w to ślepo, więc zdawało mu się, że Fredi żartuje sobie z niego i kpinkami chce się od wszystkiego wywinąć. Nie mogąc się opanować, zawołał podniesionym głosem:

— Dość tych kłamstw i wykrętów. Zamordowałeś Roberta Sandtnera, wdziawszy na siebie czarną maskę i zrabowałeś mu ten pulares, a potem w kilka dni otrułeś Zofię Strobel, aby zatrzeć ślady pierwszej zbrodni.

Fredi spojrzał ze zdumieniem na komisarza, ale z najzupełniejszym spokojem i uśmiechnąwszy się, odpowiedział od niechcenia:

— Albo pan komisarz żartuje sobie ze mnie, albo się to panu przyśniło. Wypraszam sobie takich posądzeń.

Sędzia Maran badawczo przypatrywał się przez cały czas więźniowi, a teraz przy ostatniej odpowiedzi Freda miał bardzo zadowolony wyraz twarzy i z odcieniem ironii spojrzał na komisarza. Haller skupiał siły, aby panować nad sobą i nie wybuchnąć. Zdawało mu się, że Fredi posuwa zuchwalstwo do bezczelności. Znał dobrze urwiszów wiedeńskich i wiedział, że w ten sposób odpowiadać zwykli, bo to jest właściwą cechą wiedeńskiego tłumu. Nie pochodzi to z zuchwalstwa, jeno z charakteru Wiedeńczyka, z tego co nazywać zwykli „Gemüthlichkeit". A jednak zawziętość go zaślepiła i gniewem uniesiony, zawołał:

— Jeżeli się ośmielisz jeszcze raz tak zuchwale odpowiadać, każę cię natychmiast do kryminału odstawić.

— Kryminału? A za co? Sumienie mam czyste, nie boję się niczego. Pan komisarz niepotrzebnie się gniewa, bo przecież niema o co.

— Skąd wziąłeś pulares zamordowanego Sandtnera? Na co ci była potrzebna czarna maska?

— Przecież powiedziałem, żem znalazł, a cóż to złego znaleść.

— Namyśl się dobrze i powiedz prawdę, bo to ci tylko na dobre wyjdzie.

— Żeby mnie nawet sam cesarz pytał, to inaczej powiedzieć nie mogę. Znalazłem w Belwederskim ogrodzie i na tem koniec.

— Odprowadzić więźnia do kaźni — zawołał Haller do żołnierzy policyjnych.

Fredi ruszył ramionami, zamruczał coś pod nosem. Gdy komisarz i sędzia zostali sami, Haller zawołał zwracając się do sędziego:

— A to szelma zacięta.

— Nie zacięty, tylko niewinny — rzekł sędzia Maran. Czy można przypuścić, aby człowiek z gminu zdołał w taki sposób udawać niewinnego? Posądzenie pańskie nie wywarło na niego najmniejszego wrażenia, nawet wydało mu się wprost zabawne. Ten pański Fredi jest sobie urwiszem, może co ukraść, nawet dopuścić się włamania na spółkę z jakimś ślusarczykiem, ale mordercą nie jest i zostać nim nie zdolny.

— Ale ta maska i ten pulares!

— Mam to najzupełniejsze przekonanie, że istotnie znalazł i jedno i drugie, a morderstwa dopuścił się nieznajomy.

Wtem zapukano do drzwi i wszedł woźny z biletem w ręku.

— Jakaś pani oddała ten bilet i kazała wręczyć panu sędziemu — rzekł woźny.

— Niech wejdzie — odpowiedział sędzia Maran.

— Morderstwa dopuścił się tajemniczy znajomy Elli Gerlach, która tu właśnie przybyła, jak ten bilet świadczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bandytyzm w Krakowie.

Drugi uczestnik głośnego wymuszenia na osobach pp. Maraszkiewiczów, Henryk Pieprzak, jest już również w więzieniu śledczem. Zgłosił się na



Bandytyzm w Krakowie: Henryk Pieprzak.

policyę dobrowolnie, nie uciekł bowiem zagranicę, jak pierwotnie przypuszczano, lecz bawił w Krakowie.

Pieprzak jest młodym chłopcem, liczy 19 lat. Był kelnerem z zawodu, w ostatnich czasach bez zajęcia.

NADESŁANE.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wbny Ks Zaleski w Polanie: Prenumerata zapłacona obecnie aż po dzień 23-go stycznia 1909. t. j. po Nr. 4-ty włącznie.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

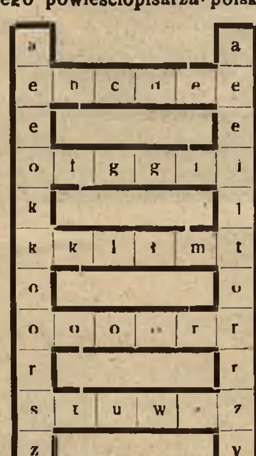
Ułożył Józef Karpiński Lwów.

Kiedy w boju żołnierzowi
Krwawy pot już czoło rosi,
Słychać pieśni ton bojowej,
Pierwsze, drugie duch podnosi.
Chcąc zaś pewnie się dowiedzieć,
Co opiewa ta zagadka
Musim się choćby na chwilę
Do mysiego przenieść światka;
Drugie wspak i trzecie razem
Są dla myszek bardzo wrogie
A nie mogąc walczyć z niemi
Dają łapać się niebogie.
Całość zaś p' trzebna prawie
Każdemu człekowi,
Biednej chacie, w zwykłym domu,
Nawet pałacowi.

Zagadka.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Niżej podane litery tak poprzestawiać aby litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół, dały imię nazwisko i tytuł powieści zmarłego powieściopisarza polskiego.

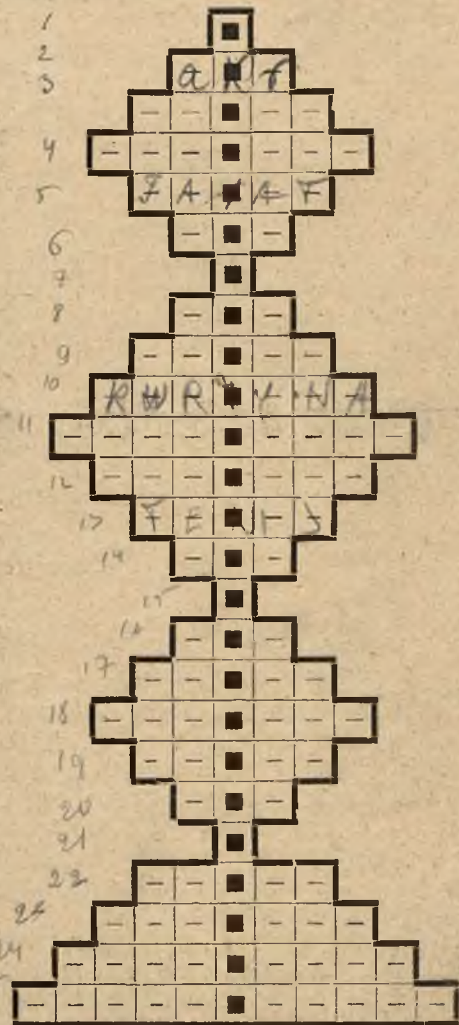


1. Dwie spółgłoski. 2. Powieść Kraszewskiego. 3. Dwie spółgłoski. 4. Ćwiczenia muzyczne. 5. Spółgłoska i samogłoska. 6. Przełożony uniwersytetu. 7. Dwie samogłoski. 8. Dawna stolica księstwa, obecnie miasto w regencyi Lignickiej na Szląsku pruskim. 9. Dwie samogłoski. 10. Miękki tłuszcz zwierzęcy. jadalny. 11. Dwie spółgłoski.

Logogryf.

Ułożył I. W.

Kwadraty zastąpić literami w ten sposób ażeby litery czytane z góry dały imię, nazwisko i tytuł ostatniego utworu jednej ze współczesnych pisarek polskich.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miara w dawnej Polsce. 3. Roślina. 4. Miasto na Morawach. 5. Malarz polski. 6. Roślina. 7. Spółgłoska. 8. Zwierzę domowe. 9 Miasto w Rosyi. 10. Zasłona. 11. Kwiat. 12 Miasto w Rosyi. 13. Sport 14. Zwierzęta. 15. Spółgłoska. 16. Ptak. 17. Luźne towarzystwo 18. Przedsionek w kościele. 19. Zwierzchność żydowska. 20. Wykrzyknik. 21. Spółgłoska. 22. Ptak. 23. Mieszkaniec dzielnicy dawnej Polski. 24. Miasto w Galicyi. 25. Czasopisma.

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy Sieroszewskiego »Oi-Soni Kisań«

Rozwiązanie zagadek z Nru 19

Szarada.

Siczyński.

Logogryf I.

Siczyński.

Logogryf II.

Wiwat trzeci maj.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: R. Jaworski, Kraków, O. Górkowa Chyrów, R. Czaplicki Kraków, J. Pieniążek Lwów, A. Rojek Lwów, A. Nikosewiczowa Krzywe, J. Diehl Stryj, M. Grodzicka Dębniki, I. Wielgus Wadowice, K. Euchs Czeremchów, W. Masiuk Dębniki, B. Ramułtowa Jeżów, A. Sołtys Herbutów, S. Eckhardt Stanisławów, L. Złochowski Zaleszczyki, Z Gandnik Stary Sącz, M. i S. Czaplickie Kutno, T. Marciniec Warszawa, A. Woyde Warszawa, S. Kubacki Piotrków, A. Bocsoń Bóbrka, K. Scholz Golcowa, J. Wilczek Krzyśrtoporczyce, J. Wróblewska Warszawa, Ks. J. Dagnan Piwniczna, F. Niepokój Krosno, I. Godlewski Kraków, K. Kosińska Brzesko, M Arbesbauer Lwów, A. Rotter Stanisławów, A. Jeżin Częstochowe, O. Tłuchowski Warszawa, J. Tondyra Bieńkówka, J. Robak Kraków, E. Bogdalska Koropuż, J. Badura Rożdżeń, H. Pawłowska Bórka, K. Michalczewska Złoczów, E. Katarzyńska Kraków, Z. de Boulange Gawłówek. Ks. Jan Mamak Harbutowice, J. Gomulińska Bóbrka, M. Różański, Libusza. F. Kalita Gawłoszowice, Ks. J. Siengalewicz Betetuja

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. E. Katarzyńska. — Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.



Zewnętrzny widok kawiarni.

Nowa kawiarnia w Krakowie.

Przed paru dniami otwarta została w Krakowie nowa pierwszorzędna kawiarnia. Mieści się ona w wspaniałej kamienicy na rogu ul. Karmelickiej i Dunajewskiego, gdzie zajmuje cały obszerny parter. Już samem swem położeniem, tuż przy uroczych, pełnych zieleni plantach, oraz swym rozkładem w jasnych, obszernych ubikacyach, różni się nowy lokal bardzo korzystnie od innych tego rodzaju przedsiębiorstw.

Właściciel nowej kawiarni, znany przedsiębiorca p. Jan Bisanz, dołożył ze swej strony bardzo usilnych starań, by goście znaleźli tam nietylko wygody wszelkiego rodzaju, ale i prawdziwy komfort. I pod tym względem nie ustępuje kawiarnia p. Bisanza pierwszorzędnym kawiarniom zagranicznym.

Pierwszy pokój, którego okna wychodzą na ul. Karmelicką, przeznaczony jest dla niepalących. Ściany w nim, podobnie jak w całym lokalu, wyłożone do znacznej wysokości szarym marmurem. Okna ogromne, zapewniają moc swiatła i powietrza. Świeczniki elektryczne pełne smaku, porozwieszane gęsto, a w pośród nich cały szereg dużych pająków. Obok pokoju dla niepalących znajduje się główna sala, długości 25 metrów. Wzdłuż ścian i okien poustawiano marmurowe stoliki z wygodnemi kozetkami i krzesełkami. Tam też znajduje się bufet. Z salą główną łączą się gabinety dla amatorów gry w karty, urządzone również z komfortem, a dalej położona jest obszerna a widna sala bilardowa z trzema najnowszego systemu bilardami amerykańskimi.

Gabinety karciane mają szereg zgrabnych stolików mahoniowych, oraz krzesełek wygodnych, nad każdym zaś stolikiem znajduje się piękna lampa elektryczna, rzucająca na stolik snop jasnego światła. Także bilardy oświetlone są wybornie, prócz tego zaś zalecają się znakomitymi kijami i nadzwyczajnie elastycznemi kulami.

Tak samo na najwyższe pochwały zasługuje zastawa srebrna, porcelanowa i szklana, w jaką swą kawiarnię wyposażył p. Bisanz. Wspomnieć należy też o czytelni, zaopatrzonej bogato we wszelkie dzienniki i czasopisma illustrowane polskie i zagraniczne.

Przedewszystkiem zaś uderza w całem wewnętrznem urządzeniu nowej kawiarni, a jeszcze bardziej w jej kuchni, nadzwyczajna, ogromnie sympatyczna czystość, zaleta w tego rodzaju zakładach bezsprzecznie bardzo doniosła.

W nowej kawiarni pozyskał Kraków zakład pierwszorzędny, urządzony po europejsku i odpowiadający wszelkim wymogom hygieny. A ma tę jeszcze zasługę właściciel kawiarni, że urządzenie to powierzył wyłącznie firmom krajowym.

Nic dziwnego, że tak sympatyczny lokal, ściąga stale tłumy publiczności i choć istnieje dopiero od pierwszych dni maja, ma już cały sztab „sztamgastów“.

* * *

Z powodu otwarcia tej nowej kawiarni krakowskiej, zamieszczamy dziś kilka zdjęć fotograficznych, uwidoczniających plastycznie zarówno rozkład jej, jak komfort wewnętrznego urządzenia. Prócz widoku zewnętrznego kawiarni, podajemy więc obraz głównej sali, a następnie zdjęcie głównego gabinetu karcianego i sali bilardowej.



Główna sala



Karciarnia.



Sala bilardowa.

W sprawie „nowej wielkiej szarady“.

W dniu 17-go b. m. odbyło się w naszej Redakcyi .ozlosowanie nagród, którego wynik jest następujący:

I Nagroda.
Związek Kasynawy, Tarnogród.

II. Nagroda.
M. Reiner, Kzaków.

III. Nagroda.
A. Grabowska, Barwałd.

IV. Nagroda.
K. Thomas, Suchorów.

V. Nagroda.
S. Krynicki, Cieszanów.

VI. Nagroda.
M. Rackiewicz, Kraków.

VII. Nagroda.
L. Aksentowicz, Ceniów.

VIII. Nagroda.
Z. de Boulange, Gawłówek.

IX. Nagroda.
I. Kosiński, Mielec.

X. Nagroda.
F. Gużkowski, Ostrożec.

Po nadesłaniu przez odnośnych P. T. Prenumeratorów odpowieduich kwot na koszta przesyłki, nagrody zostaną bezzwłocznie wysłane.

Administracya.

Piesek pana oficyała.

Był sobie pan oficyał
Gdzieś w stronach aż Oleska,
Miał tylko jedną pasyę,
Że kochał swego pieska.

Aż zdechła dobra psina
(Bo taki już porządek),
Gdy raz pasztetem tłustym
Zepsuła swój żołądek.

Pan był niepocieszony,
Po pieska zaś pogrzebie
Zaprosił na kolacyę
Kolegów swych do siebie.

Wspaniała konsolacya.
Strumieniem płynie wino,
Oficyał przy kieliszku
Rozczulił się nad psiną.

Zapomniał się do tyla,
Że aż się ozwał rykiem,
Iż jego pies nieboszczyk
„Był dobrym urzędnikiem“.

Lecz między przyjaciółmi
I zdrajcy nie są rzadcy,
O owem wyrażeniu
Ktoś doniósł panu radcy.

Pan radca — przełożony
Naszego oficyała —
Na wieść tą apopleksyą
Był tknięty już bez mała.

I mówi: „Pan szkalujesz
Stan cały urzędniczy!
A więc pan psa podłego
Do sług państwowych liczy?

To poraz pierwszy słyszę,
To niecnie, to szkaradnie,
Z powodu tego nawet
I awans twój przepadnie!“

Oficyał rzecze na to:
„Ach wielka moja wina!
Lecz radca nie uwierzy,
Jak zacna jest ta psina!“

Przed śmiercią jeszcze swoją
Zażądał mieć atrament,
I własnoręcznie skreślił,
Czy wierzysz pan? — testament.

Czy radca wie, czy zgadnie,
Co ten testament mieści?
Jest tam dla pana legat
Na reńskich — ot! — trzydzieści.

Przy słowach tych przystąpił
Do pana radcy zbliska
I sumę legowaną
Do rąk mu zlekka wściska.

Hm! hm! — pan radca mruknął —
Już dobrze panie bracie,
Lecz nie mów nic nikomu
O owym psim legacie!...

Kruk.

IGNACY SOBOLEWSKI
w Krakowie, przy ul. Grodzkiej L. 3.

poleca: MAGAZYN TOWARÓW BŁAWATNYCH, JEDWABNYCH I GOTOWEJ KONFEKCYI DAMSKIEJ oraz

1—52 Towar dobry — DOBOROWĄ PRACOWNIĘ SUKIEN I OKRYĆ DLA PAŃ — Ceny umiarkowane

---




Najtaniej!

Zegarki, Budziki, Pierścionki, Łańcuszki i wszelkie **wyroby jubilerskie** — poleca

EMIL GOLDWASSER, Kraków, ul. Grodzka 58n

Najnowszy bogato ilustrowany CENNIK wysyłam darmo.

Najstosowniejsze **podarki wartościowe**

Kraków Sławkowska L. 3 — Telefon 516



Kraków Hotel Saski — Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

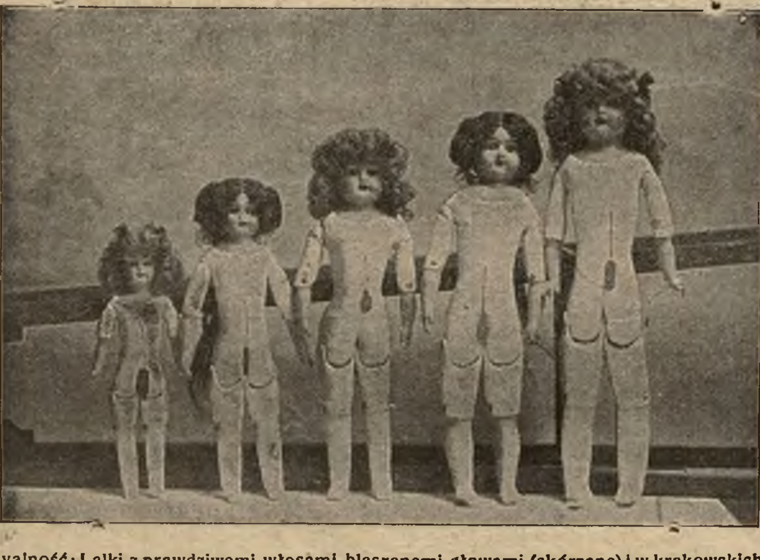
Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBOR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKOW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki **WÓZKI** itp. na składzie.

Jedynie prawdziwym jest tylko

Thierry'ego Balsam

z zieloną marką ochronną ZAKONNICY. Najmniejsza wysyłka 12/2 lub 6/1 albo 1 patent. flaszka familijna do podróży **K 5.** Opakowanie darmo. — **Thierry'ego maść centyfoliowa** Najmniejsza wysyłka 2 słoiki **K 3·60**, opakowanie darmo. — Uznane wszędzie jako **najlepsze środki domowe** przeciwko dolegliwościom żołądkowym, zgadze, kurczom, zaflegmieniu, zapaleniu, **Kontuzyi** i t. p. — Zamówienia lub przesyłki pieniężne należy adresować:

A. THIERRY, Apteka pod Aniołem stróżem, Pregrada obok Rohitsch. — Skład we wszystkich aptekach.



Cud przemysłu!

Z powodu zakupna wielkich zapasów jesteśmy w stanie po tak bajecznie niskich cenach dostarczyć: Zegar pendułowy z szafką orzechową K 4·90; ten sam bijący ½ i godziny K 5·90; ten sam grający godziny K 9·—; Zegar kukułkowy, bogato rzeźbiony K 5·90; Zegar ścienny 8-dniowy w okrągłym formacie K 5·75; Budzik konkurencyjny z marką „Präcision“ K 2·90; Zegar ścienny z figurami wskazującemi zmianę powietrza K 6·20. — Wysyłka za zaliczką. Wymiana do 8 dni dozwolona, lub zwrot pieniędzy, więc ryzyko wykluczone.

Kapellner i Holzer
Kraków
ulica Dietlowska 68/5.

Bogato illustr. cenniki, o przeszło 2000 odbitek na żądanie darmo i opłatnie 14—11

Pistolet odtylcowy
pierwszej jakości



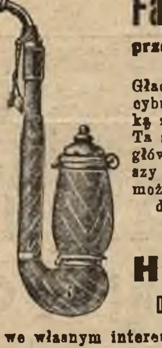
Nowość! 15—24

jako wisiorek do zegarka ze srebrną rękojeścią, oddaje strzał nader silny, wraz z 25 ślepemi patronami (kal. 2 mm) **2 kor.**, 1 hilza z 25 ślepemi patronami osobno 40 h. Rozsyłka za zaliczką przez c. i k. nadw dostawcę

Hanns Konrad
w Brüx Nr. 550 (Czechy).

Bogato illsutrow. polski cennik z przeszło 3000 illustracyami darmo i opłatnie.

Fajki z drzewa Bruyèra,



Przyjemne i suche palenie, przeto w czystości i smaku nieprześcignione.

przedni fabrykat z prawdziwego niezniszczalnego drzewa Bruyèra.

Gładka główka z wygiętym odlew. z Bruyera cybuch wiśniowy z ustnikiem z rogu i rurką z jedwabiu, około 21 cm. długa K. 1·50. Ta sama fajka, jednak z rzeźbioną naokoło główką z drzewa Bruyera K. 1.80. Największy wybór przyrządów dla palących znaleźć można w mym katalogu, który wysyłam darmo i opłatnie. Do nabycia przez

c. i k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD
Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 1302 (Czechy).

Proszę we własnym interesie zażądać mego bogato ilustrowanego polskiego katalogu z przeszło 3000 odbitkami darmo i opłatnie.
47—52 15—24

TAPETY
POLECA
w wielkim wyborze na składzie
W. ADAMSKI LWÓW HOTEL ŻORŻA
Wzory z cenami wysyła się opłatnie.

WIETRZNA HARMONIJKA
Nowość! Wspaniała muzyka



Instrument ten umieszcza się na altanach, ogródkach, drzewach, domach mieszkalnych, a przy najlżejszym nawet wietrze wydaje tonie nadzwyczaj miłe i przyjemne tony.
Wietrzna harmonijka jest 28 cm. długa i kosztuje za sztukę tylko Kor. 2.
Wysyłka za zaliczką przez c. i k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD
Dom wysyłkowy 14—28
w Brüx Nr. 378 (Czechy).
Proszę żądać bogato illustrowanego głównego cennika z przeszło 3000 illustracyj darmo i opłatnie.

KALENDARZ „BOCIANA“
na rok 1908
Cena 1 K.
Do nabycia Administracyi BOCIANA i wszystkich księgarniach

Bogumił Pirkel
optyk i mechanik
Lwów Akademicka 8. — Dostawca dla c. k. kliniki okulistycznej
: poleca po najtańszych cenach ::
wszelkie wyroby optyczne.
Wykonuje reperacye szybko i dokładnie

Homeopatyczny sposób leczenia

I. wszelkich chorób wenerycznych, neurastenii i t. d.
II. Skrofuł i tuberkuł itd.
III. Pod prasą. Choroby żołądka, kiszek (hemoroidów).

Pop. skreślił lekarz homeopata
Dr. A. DORNFEST.
Cena po 1 K., z przes. poczt. K 1·20. Adres: **Lwów, pl. Akademicki 3.** Ord. od 9—6 i równocześnie własne leki wydaje.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato illustrow. polski **CENNIK** zegarków, towarów złotych, srebrnych (przeszło 3000 illustracyi).

Pierwsza fabryka zegarków
Hanns Konrad
Ces. i król. nadworny dostawca
w Brüx, Nr. 1148 (Czechy).

Prawdziwe szwajcarskie niklowe anker-remontoir, zegarki systemu Roskopf-Patent K 5·—, 3 sztuki K 14·—. Wolna zamiana lub zwrot pieniędzy 5—2

DALMIOS
z watą „SALVESOL“

Tutki cygaretowe egipskie — ozdob[…] dla wybrednych smakoszy.

Palą się równo i lekko, nie czernieją, sma[…] mają łagodny, nie spalają się szybko, wskut[…] tego dym jest chłodny, co jest wielką zalet[…] tutek cygaretowych.

Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć **zatrucia nikotyną**, winien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą ∴ „SALVESOL“. Pochłania ona nikotynę, a więc usuwa jej szkodliwe działanie.

Oryginalny pakiecik **waty „SALVESOL“** wystarcza na 200 do 400 papierosów lub cygar.

10 cygarniczek szklanych K. 1·20
Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 hal.
1000 tutek cygaretowych „Dalmios“ K. 3·20

Wyroby te poleca:

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych „NORIS“ (1)
Mr. W. BEŁDOWSKI, KRAKÓW

Paski damskie
gumowe, skórkowe, szychowe i gurtowe

Rękawiczki
niciane, jedwabne i Mitenki krótkie i długie

poleca po umiarkowanej cenie firma

Stefan Porębski
Kraków, obecnie Rynek główny Nr. 32, Linia C-D.